POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 3-go lutego 1945r.*** — **Rok VII. Nr. 5**

TO NAS BOLI

Wojska rosyjskie wyparły już Niemców prawie z całej Polski. Prasa angielska wielkimi literami pisze z radością o "uwolnieniu" naszych ziem. Czy my też podzielamy tę radość? Czy my też czujemy i mówimy między sobą, że Polska została już uwolniona? Zastanówmy się i odpowiedzmy sobie uczciwie i szczerze.

Tak, cieszymy się, że Niemcy zostali wyparci z Polski. Cieszymy się, że nie ma już panoszącego się prusactwa w naszych miastach i wsiach. Że nie ma już obozów śmierci w Majdanku, Treblince, Oświęcimiu i innych, że nie ma już więzień wypełnionych najlepszymi Polakami. I cieszymy się wreszcie, że kara Boska spotkała Niemców za wszystkie ich zbrodnie popełnione na naszej ziemi.

Ale nie ma w nas tej radości, jaką przeżywali Francuzi, Belgowie lub Holendrzy, gdy wojska brytyjskie i amerykańskie uwalniały ich ziemie. Nie, nasza radość jest niepełna, ciąży na niej troska i niepokój o nasz kraj, o jego przyszłość, wolność i o jego niepodległość. Dla nas to jest tylko uwolnienie Polski od Niemców, ale nie powrót do wolności.

Nie myślimy w tej chwili o wojskach rosyjskich, które są na naszej ziemi. Jest wojna, wojska te w zwycięskiej walce z Niemcami tam przyszły, rozumiemy dobrze, że inaczej być nie może. Któżby Niemców stamtąd wyparł?

Ale myślimy o tym, że za tymi wojskami posuwa się nowa władza, która nazywa siebie polską władzą, ale która w rzeczywistości jest nam zupełnie obca. Nie wybieraliśmy jej, nie wyznaczaliśmy jej, nie prosiliśmy jej. Obca jest nam duchem, obca zamiarami, obca sposobami rządzenia, obca nawet ziemią, z której przyszła.

Cóż nam z tego, że nie ma gubernatora Franka, kiedy zamiast niego wyznaczono nam innego pana, który może być najlepszym i najmądrzejszym człowiekiem, ale jednak jest nam obcy, bo żył od dwudziestu lat wśród obych, im służył, dla nich pracował, a nas, całą Polskę, uważał zawsze za wroga swoich gospodarzy i za swego wroga, bo działał przeciw tej Polsce, w której myśmy się urodzili, żyli i której my służymy.

Cóż nam z tego, że nie ma już Majdanków i Oświęcimów i więzień strzeżonych przez Gestapo, kiedy wiemy, że ci, co się "rządem" polskim w Lublinie nazywają, nie znają przecież innego sposobu rządzenia, niż groźbą i karą: kto nie z nami — ten przeciwko nam, tego uwięzić, zabrać mu cały dobytek, zesłać na Sybir, rozstrzelać.

Cóż nam z tego, że nie ma niemieckich rządów nad nami, gdy te nowe rządy nie pozwalają nam ani na swobodne wyrażanie naszych myśli, ani na pisanie w gazetach tego, kto co uważa za słuszne, ani na radzenie s a m e m u n a r o d o w i nad swoimi losami, ani na rozumną krytykę tego co jest złe; nie wolno tego, trzeba milczeć i słuchać, kto nie słucha — ten będzie zniszczony, tak jak to sam p. Osóbka, "premier" lubelski, zapowiedział.

Cóż nam z tego, że nie ma już niemieckich sądów i rządów, kiedy wiemy, że nasze życie będzie tak samo pod nahajem — nie wolno ci krytykować rządów, nie wolno ci strajkować, nie wolno ci kupić ani sprzedać domu, ziemi, konia, czy krowy, czy fabryki, nie wolno ci pisać w gazecie, nie wolno obrać takiego czy innego fachu, nie wolno ci dziecka uczyć pacierza, nie wolno ci napisać w liście, że jest ci źle, że coś ci się nie podoba. Nie wolno ci. Nie wolno ludności głosować na takiego radnego do rady gminnej, czy miejskiej albo na posła do sejmu, jakiego ludność będzie chciała, ale t r z e b a "g ł o s o w a ć" na tych ludzi, których narzuci ludności narzucona Polsce obca władza. Państwu ani jego rządowi nie wolno zawrzeć sojuszu z tamtym czy innym państwem, nie wolno wysłać posła tam gdzie to n a s z y m i n t e r e s o m o d p o w i a d a, nie wolno zawrzeć takiej umowy handlowej, jaka byłaby d o b r a d l a n a s z e g o g o s p o d a r s t w a — bo obcy nam ludzie, którzy rządzą u nas, nie będą słuchać woli narodu, ale będą posłuszni tym i celom tych, którzy ich wyznaczyli.

Oto dlaczego nie czujemy jeszcze w naszych sercach i w naszych myślach, że Polska jest wolna. B o t o w s z y s t k o, c z e g o t e r a z w P o l s c e n i e w o l n o, t o w ł a ś n i e j e s t w o l n o ś ć, t o w ł a ś n i e j e s t n i e p o d l e g ł o ś ć. O tę wolność i niepodległość walczymy od 1939 roku, za tę wolność i niepodległość poszły na śmierć miliony już, a nie tysiące, naszych obywateli — na polu walki, w walce podziemnej, w obozach koncentracyjnych, w ghettach, w komorach gazowych. To nas boli; to nas niepokoi, z tym nie możemy się zgodzić.

Wiemy, co to znaczy, gdy wojna przewala się przez kraj. Wiemy, jakie cierpienia musi wówczas znosić ludność po wsiach i miastach. Ale znieślibyśmy te nowe ofiary i cierpienia spokojnie, gdybyśmy wiedzieli, że tymi cierpieniami okupimy prawdziwą wolność.

Jesteśmy żołnierzami, którzy wiedzą już jak ciężka jest żołnierska dola na wojnie. Żołnierz jest wszędzie taki sam: walczy, wykonuje rozkazy, cierpi czasem głód i chłód, niewygody, bywa ranny, okaleczony, umiera. Taki już żołnierski los. Jako żołnierze umiemy ocenić wartość żołnierza i wartość wojska. Nic nam nie zamknie oczu na zdolności rosyjskich wodzów, na bohaterstwo i twardość rosyjskiego żołnierza. Niemcy są świetnym wojskiem, a przecie Rosjanie ich pobili.

Jako żołnierze, wiemy, że te zwycięstwa darmo nie przyszły, że trzeba było płacić za nie krwią i życiem setek tysięcy żołnierzy. Czyż ich mogiły po naszej ziemi rozsiane mają się rozsypać i zniknąć bez śladu? Czyż ich ofiara ma być potrzebna tylko po to, by nam tak samo odebrać wolność, jak nam ją odebrali ci Niemcy, z których ręki oni polegli? Czy ta krew rosyjska przelana na naszej ziemi, w którą już tyle krwi wsiąkło, ma użyźnić naszą ziemię pod siew przyjaźni i uczciwego, sąsiedzkiego braterstwa, czy też tylko ma być dla nas przypomnieniem nowej krzywdy i świadectwem ich daremnej ofiary? Czyż ten dzielny żołnierz, walcząc w ciężkim żołnierskim trudzie, ma nie wiedzieć, że uwalniając naszą ziemię od najeźdźcy, nie przynosi nam prawdziwej wolności, bo jego śladem idą ludzie mali, obcy tej ziemi, niepragnący szczęścia dla niej, idą bezpieczni pod opieką jego bagnetu i niosą dla nas nowe kajdany za plecami zamiast wolności?

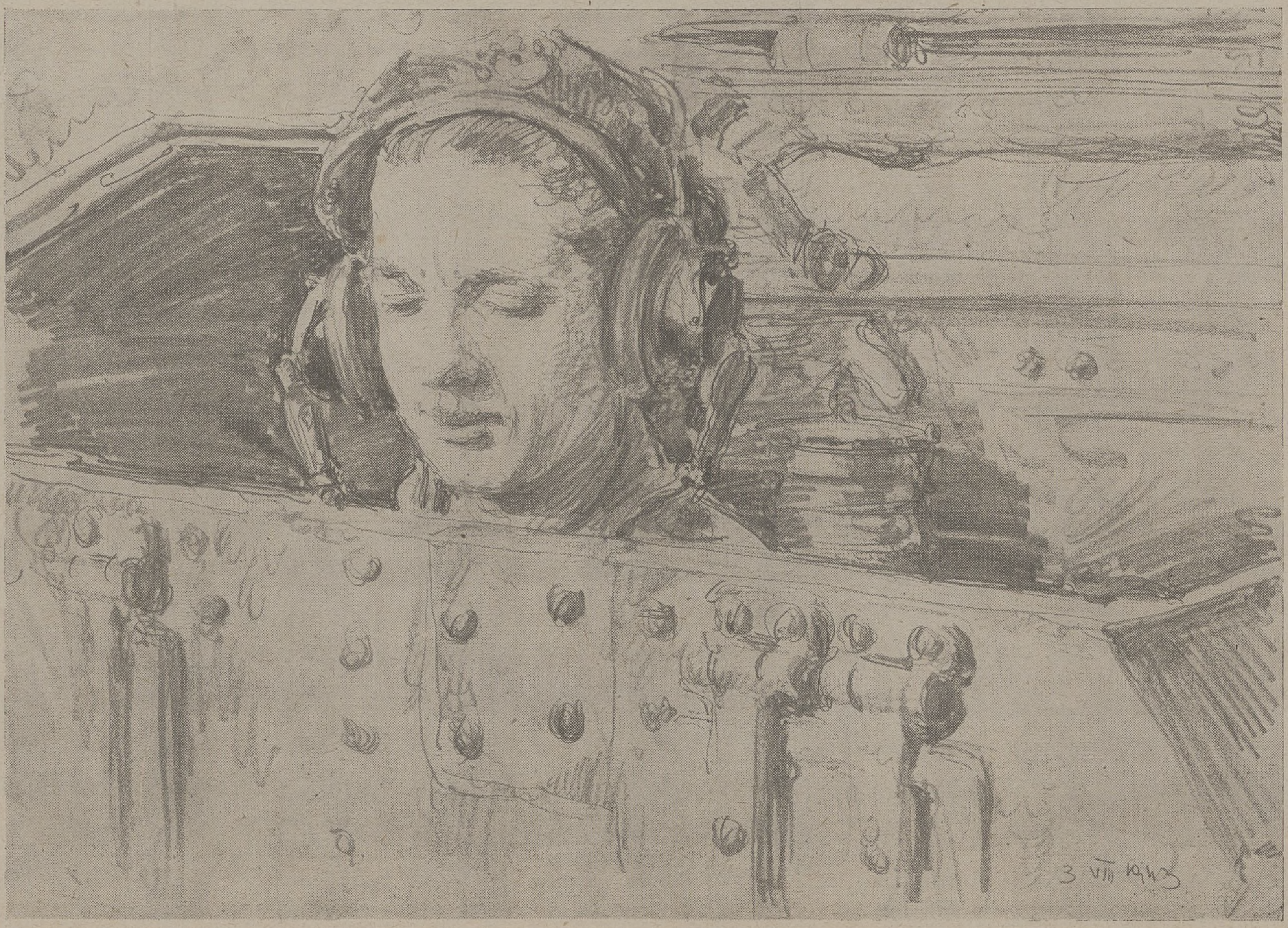
Poznań, Bydgoszcz, Gniezno, Częstochowa, Kalisz, Kraków . . . Słyszymy nazwy tych drogich nam miast, słyszymy że wojska rosyjskie zdobyły je. I zaraz obok tego słyszymy, że z Lublina już wysłano komisje śledcze i sądy polowe, aby sądzić i skazywać tych Polaków, co się z rządami tych ludzi obcych z Lublina nie zgadzają. Anglicy i Amerykanie przywożą do Grecji, do Włoch i do Francji, które uwolnili, chleb, lekarstwa, ubrania, opiekę, życzliwość i sprawiedliwe traktowanie. Dlaczegoż te zwycięskie pułki rosyjskie nam tego samego nie przywożą, ale sprowadzają nam wbrew naszej woli obce i nie polskie rządy, które rządzą bez prawa, bez sprawiedliwości, które przynoszą terror, prześladowania i deportacje?

To nas boli, to nas gryzie i to nam nie pozwala radować się tak, jak się radują Francuzi czy Belgowie.

Wierzymy jednak, pomimo naszego bólu i głębokiej troski, że i my, Polacy, kiedyś będziemy naprawdę wolni, będziemy sami urządzać swój dom, będziemy sami wybierali sobie rząd, że uzyskamy, jak to powiedział premier naszego rządu, prawo do rzeczywistej niepodległości naszego narodu. Wierzymy, ponieważ nie możemy się pogodzić z myślą, aby to morze krwi przelanej, te miliony poległych i zamordowanych, ten ogrom cierpień i nędzy ludzkiej poszły na marne, aby znów niewola panowała nad wolnością a bezprawie i gwałt nad prawem.

Ta wiara doda nam sił do wytrwania do końca w obronie naszych świętych praw.

KONNY ARTYLERZYSTA



Rysował ANDRZEJ WART

Przegląd tygodniowy

DECYDUJĄCE DWA — TRZY TYGODNIE

Wypadki na froncie wschodnim rozwijają się nadal z dramatyczną szybkością. W ciągu jednego tygodnia Prusy Wschodnie zostały odcięte i 20 dywizji niemieckich znalazło się w potrzasku, skazanych na zagładę. Cały Górny Śląsk został dla Niemiec stracony, Odra sforsowana, a wreszcie zarysowała się wyraźna groźba dla Berlina. Nie nastąpiło żadne przeciwuderzenie niemieckie, czy choćby próba zorganizowania obrony na jakiejś nowej linii. Zresztą możliwe podstawy wyjściowe dla ewentualnego przeciwuderzenia zostały w ostatnich dniach stracone. W następstwie sytuacja przedstawia się dla Niemiec wręcz groźnie.

Oczywiście największym ciosem jest dla Rzeszy utrata Śląska wraz z przyległymi okręgami górniczo-przemysłowymi. Bez 100 milionów ton węgla ze Śląska Niemcy — jak podkreślaliśmy przed tygodniem — wojny długo prowadzić nie mogą; utrata tych kopalń, rozbudowanych na Śląsku fabryk syntetycznego paliwa, fabryk i hut i t.d., tak samo, jak utrata dostaw żywności z Poznańskiego nie dadzą się — rzecz jasna — odczuć od razu. Jeśliby Niemcy zdołali zatrzymać ofensywę sowiecką, to koniec mógłby się o parę miesięcy odsunąć. Ale tak jak w chwili obecnej rzeczy wyglądają, załamanie się Niemiec może nastąpić jeszcze zanim gospodarcze skutki utraty Śląska zadecydują o sparaliżowaniu niemieckiej machiny wojennej.

Rosjanie usiłują uzyskać rozstrzygnięcie teraz, zanim siła rozmachu ich ofensywy się wyczerpie i będą musieli zatrzymać się dla wypoczynku, podsunięcia baz zaopatrzeniowych i t.d. Niemcy liczą zapewne na to, że to wyczerpanie się ofensywy nastąpi, zanim klęska ich będzie całkowita i ostateczna. W tym wypadku musiałaby nastąpić jeszcze jedna pauza, poczym dopiero na wiosnę — mogłaby się zacząć ostatnia ofensywa, zapewne jednocześnie z zachodu i ze wschodu.

Ale moment wyczerpania się ofensywy sowieckiej jeszcze nie wydaje się bliski. Normalnie moment taki następuje dopiero po przebyciu około 400 mil, a Rosjanie przeszli tylko 200. Dużo zależy od zniszczeń; w danym wypadku wydaje się, że Niemcy nie zdążyli zniszczyć zbyt wiele.

Oczywiście zbyt wiele elementów sytuacji jest nieznanych, by można było ryzykować jakiekolwiek przepowiednie. W każdym razie niewątpliwie istnieje dla Rosjan możliwość podobna do tej, jaką mieli Sojusznicy zachodni w lecie. Jeżeli, tak jak wówczas Aliantom, nie starczy im "oddechu" na finiszu, to rozstrzygnięcie wymagać będzie jeszcze jednej skoordynowanej ofensywy. Zadecydują najbliższe dwa, trzy tygodnie.

CO ZROBIĄ GENERAŁOWIE?

Fantastyczne rozmiary klęski niemieckiej, oraz niezdolność do podjęcia jakiejkolwiek kontrofensywy czy choćby zorganizowania obrony intrygują oczywiście opinię świata. Zadaje ona sobie pytanie, gdzie się podziały duże siły niemieckie, które były na wschodzie. Z początku, opierając się na małej liczbie jeńców, wysnuwano wniosek, że Niemcy zawczasu się wycofali i trzymali front słabymi siłami. Ale teraz, gdy stracony został Śląsk, odcięte Prusy, oraz łatwo sforsowana Odra, trudno już jest mówić o planowym odwrocie. Improwizowana ewakuacja Wrocławia i innych miast najlepiej świadczy, że bieg wydarzeń zaskoczył kierownictwo Niemiec.

Wysuwa się różne przypuszczenia. Niektórzy nie wykluczają nawet, że istnieje jakieś porozumienie pomiędzy generałami niemieckimi mającymi wpływ na działania na froncie wschodnim, a ich kolegami z komitetu narodowego niemieckiego w Moskwie. Ostatecznie jest rzeczą wiadomą, że propaganda kilkudziesięciu generałów z marsz. von Paulusem i gen. von Seydlitzem na czele, którzy działają z Moskwy, nie pozostała bez echa wśród generalicji niemieckiej, nie mogącej darować Hitlerowi powieszenia marsz. von Witzleben i innych uczestników spisku lipcowego. W ogóle zaś nie brak było wśród generałów niemieckich zwolenników porozumienia z Rosją.

Zamiary Rosji wobec podbitych Niemiec nie są jeszcze znane. Nie byłoby jednak rzeczą niespodziewaną, jeśliby, według węgierskiego wzoru, powstał w pewnej chwili — może już po zajęciu Królewca, ale raczej na terenie właściwej Rzeszy — rząd wyłoniony przez komitet von Seydlitza, któryby skapitulował. Gdyby Hitler walczył dalej, Seydlitz wypowiedziałby mu wojnę jako sojusznik Rosji. Zapewne generałów niemieckich w Moskwie organizowano nie tylko dla celów propagandowych.

Biorąc pod uwagę rosyjską politykę faktów dokonanych, nie można wykluczyć, że również w sprawie niemieckiej Moskwa postawi Sojuszników zachodnich wobec takiego faktu dokonanego. Ale oczywiście wszystko to należy do dziedziny domysłów.

GDY NIEMCY POZNAJĄ WOJNĘ . . .

Jeśli chodzi zaś o fakty, które już nastąpiły i mieć będą wielki wpływ na kształtowanie przyszłości, to przede wszystkim zanotować należy, że ziemie środkowe i zachodnie Polski nie uległy zniszczeniu. Trzeba się spodziewać, że również Poznań oraz Pomorze wyjdą cało z obecnej fazy wojny. Również ziemie, do których Polska zgłasza uzasadnione pretensje, a w szczególności Śląsk opolski, mogą uniknąć poważniejszych zniszczeń.

Wysadzenie w powietrze pomnika w Tannenbergu i wywiezienie trumny Hindenburga dowodzi, że sami Niemcy nie liczą na powrót do Prus Wschodnich.

Z drugiej strony po raz pierwszy od czasów napoleońskich wojna toczy się na ziemiach niemieckich. Ludność Rzeszy wprawdzie poznała już wojnę dzięki bombardowaniom RAF'u, ale do tej pory nie wiedziała co to ucieczka przed nadchodzącym wojskiem, utrata wszystkiego, okupacja. To, co w 1939 czy 1940 było udziałem ludności polskiej, francuskiej, czy belgijskiej, teraz przypadło Niemcom i to na bez porównania większą skalę.

Dla narodu niemieckiego, który zawsze w ostatnich 130 latach wojował na obcych ziemiach, to poznanie prawdziwego oblicza wojny powinno mieć dobroczynne skutki wychowawcze. Niemcom może odechcieć się wojowania. A jednocześnie polityka niszczenia wszystkiego, nakazana przez Hitlera oraz rzucenie do fanatycznej walki cywilów i młodzieży, co jeszcze bardziej powiększy i tak ogromne straty niemieckie, musi doprowadzić do takiego osłabienia potencjału gospodarczego i żywotnych sił Niemiec, że Rzesza może niemal przestać być groźbą dla pokoju świata.

WIELKA SZANSA

Reszty dokonać powinni Sojusznicy. Sprawa uniemożliwienia Niemcom wszelkiej nowej próby zaboru Europy i rozwiązanie sprawy niemieckiej przynajmniej na lat kilkadziesiąt wysuwa się na plan pierwszy nadchodzącej konferencji trzech. Z zadowoleniem powitać należy wiadomości, według których prez. Roosevelt zdecydował poprzeć ideę surowych warunków dla Rzeszy, obejmujących oderwanie od Rzeszy terytoriów ważnych gospodarczo na wschodzie i na zachodzie i trwałą kontrolę, nie mówiąc już o zupełnym rozbrojeniu.

Powstałaby w tym wypadku wielka szansa zapewnienia trwałego pokoju zwłaszcza, że Ameryka gotowa jest wziąć wydatny udział w organizacji bezpieczeństwa. Wszystko jednak może być zagrożone, jeżeli Rosja nie zrezygnuje z jednostronnego załatwiania zagadnień Europy wschodniej i nie wyrazi zgody na wspólną politykę sojuszniczą w stosunku do krajów uwolnionych, opartą o zasadę poszanowania woli i praw narodów tej części Europy.

Polska jest tu oczywiście głównym probierzem. Ale, jak nieraz już podkreślaliśmy, zagadnienie polskie nie jest sprawą oderwaną — nie stanowi jedynie, wbrew temu co z wielu stron usiłuje się głosić, sporu granicznego między Polską, a Rosją. Sprawa polska, to zagadnienie pełnej niepodległości państwa polskiego. Łączy się z nim siłą rzeczy zagadnienie wszystkich innych państw Europy środkowo-wschodniej, wtłaczanych wbrew ich woli — na podstawie nieszczęsnego układu teherańskiego — w ramy t.zw. orbity rosyjskiej.

SPRAWA CZECHOSŁOWACJI

Sporo światła na to zagadnienie rzuca sprawa Czechosłowacji. Jest ona szczególnie znamienna ze względu na to, że politycy kierujący losami tego państwa od dawna obrali orientację prosowiecką, a także i dlatego, że polityka czeska była nieraz stawiana za przykład Polakom, jako rzekomo bardziej "realistyczna". Twierdzono, że gdyby Polska naśladowała Czechów, to uniknęłaby starcia z Rosją i zabezpieczyłaby w pełni swą przyszłość. A tymczasem okazuje się, że przyszłość Czechosłowacji jest tak samo niepewna, jak i nasza.

Przede wszystkim pod znakiem zapytania postawiona została integralność tego kraju: Sowiety wydają się zdecydowane włączyć Ruś Podkarpacką do Ukrainy sowieckiej, a Czesi najprawdopodobniej nawet nie zgłoszą protestu. Co więcej, nie jest nawet pewne, czy Czechy i Słowacja stanowić będą jedno państwo. Jest rzeczą możliwą, że Rosja będzie wolała "niepodległą" Słowację, pod sowieckim, rzecz jasna, protektoratem.

Może jeszcze większym ciosem dla polityki czeskiej jest wyraźne żądanie Rosji, by więzy z zachodem zostały rozluźnione. Przez długi czas dr. Benesz i jego rząd usiłował zachować równie ścisłe więzy z zachodem co z Rosją i bynajmniej tego nie ukrywał. Rolę Czechosłowacji widział w stanowieniu "pomostu" pomiędzy Rosją a demokracjami. Okazało się jednak, że Rosja na tę koncepcję nie idzie. Przyjęła ona za zasadę, że podczas gdy państwa Europy zachodniej, jak n.p. Francja, powinny mieć sojusze zarówno z Rosją, jak i z W. Brytanią, to państwa Europy wschodniej muszą polegać jedynie na Sowietach. Dlatego też Bułgaria, czy Lublin ostatnio mówią wyraźnie o sojuszu z Rosją, i tylko ogólnikowo o "przyjaźni" w stosunku do mocarstw zachodnich. I tak samo Czesi w ostatnich swych wystąpieniach wprowadzili to rozróżnienie.

Łączy się z tym naleganie Rosji na Czechów, by przenieśli siedzibę rządu na tereny zajęte przez czerwoną armię oraz by zadokumentowali swą przynależność do sowieckiej strefy wpływów przez uznanie "rządu" lubelskiego. Rząd czeski w Londynie ociąga się ze spełnieniem tych żądań. Wie, że gdy je wykona, ostatecznie zerwie z zachodem i straci niezależność. Ale nacisk rosyjski jest znamienny. Dowodzi on, że wszystkim państwom, które po Teheranie znalazły się w rosyjskiej strefie wpływów, grozi utrata prawdziwej niepodległości.

Jednocześnie jasne się staje, że podział teherański jest fikcją. Nie ma rosyjskiej i brytyjskiej strefy wpływów. Jest tylko strefa rosyjska oraz druga strefa, w której wpływy rosyjskie i brytyjskie się równoważą.

ALBO — ALBO

Dlatego też wydaje się, że ze strony zwłaszcza prez. Roosevelta podjęta zostanie na nowej konferencji trzech stanowcza próba zerwania z koncepcją teherańską i zastąpienia jej ideą wspólnej odpowiedzialności wszystkich wielkich mocarstw za losy uwolnionej Europy. St. Zjednoczone coraz lepiej bowiem zdają sobie sprawę z tego, że muszą się interesować losami Polski, Jugosławii i innych krajów.

Wszędzie dojrzewa zresztą świadomość, że albo zagwarantowany zostanie trwały pokój przez wspólne rozwiązanie zagadnienia niemieckiego, zabezpieczenie niepodległości krajów Europy wschodniej i udział Ameryki w organizacji pokoju, albo też, jeśli obecny rozwój spraw nie zostanie zatrzymany, będzie utorowana droga do nowej wojny światowej.

Londyn, 28 stycznia 1945.

ALEKSANDER BORAY

Wojna na morzu

DZIWNE SYTUACJE

Wojna obecna — jak żadna inna — obfituje w niezwykłe sytuacje i niespodzianki. Ot na przykład Bułgarzy, którzy byli sojusznikami Hitlera — biją Niemców, a neutralni i przyjaźni Bułgarii Rosjanie w pewnej chwili bili Bułgarów. Włosi i Rumuni przeszli na stronę Aliantów po kilku latach wojny. A Polska jest w wojnie z Japonią choć nie wymieniła z nią ani jednego strzału, natomiast nie była w wojnie z Włochami, choć okręty polskie walczyły na Morzu Śródziemnym już w 1940 roku, a Karpacka Brygada biła Włochów w Tobruku.

Nie koniec na tym. W chwili gdy piszemy te słowa Rosjanie zbliżają się do Berlina, Polacy walczą we Włoszech, Anglicy w Grecji, Amerykanie w Belgii i w Niemczech, a Niemcy tkwią wciąż na Łotwie, we Francji, w Norwegii. Daliby zapewne wiele, aby z tej Norwegii móc swoje 12 dywizji wycofać i przerzucić na zagrożone odcinki frontu. Nie mogą tego jednak zrobić, bo w Norwegii są bazy floty niemieckiej, skąd operują nowe typy niemieckich okrętów podwodnych, które są "ostatnią nadzieją" Doenitza.

Gdyby te okręty podwodne wycofano — od razu położenie strategiczne Niemiec na lądzie pogorszyłoby się znacznie. Komunikacje Aliantów uległyby wszechstronnej poprawie, mogłyby powstać nowe punkty desantowe i nowe fronty /n.p. w Danii lub w Północnych Niemczech/, a poza tym mnóstwo sprzętu i ludzi, zajętych walką z okrętami podwodnymi, można by przerzucić do innych "antyniemieckich" zadań.

W takim to błędnym kole miota się dziś Hitler tylko dlatego, że nie ma panowania na żadnym morzu — prócz Bałtyku. Z tego ostatniego powodu trzyma się jeszcze na Łotwie i Litwie, dlatego broni się jeszcze w Prusach Wschodnich i ewentualnie dokona morzem ewakuacji. Ale wobec panowania Sprzymierzonych na siedmiu morzach — nic mu już dziś pomóc nie jest w stanie.

A przecież w tej dziwnej wojnie był moment, kiedy Hitler mógł ją bezapelacyjnie wygrać. Gdyby zamiast tysiąca okrętów podwodnych budował był ich tylko 150, a za resztę stworzył 4 — 6 nadpancerników w rodzaju "Bismarcka" — to wojna mogłaby była być szybko zakończona zwycięstwem Niemiec. Połączone floty niemiecko-włoskie, wraz z lotnictwem, rozprawiłyby się z przestarzałymi pancernikami brytyjskimi, a wówczas Anglia i Egipt, odcięte od świata, stanęłyby otworem dla inwazji. Nie pomogłaby wówczas i Ameryka.

Dziś jest za późno. Same okręty podwodne — nawet najlepsze — nie wygrają wojny, jeśli za nimi nie staną siły liniowe, zdolne je poprzeć, oraz zlikwidować przeciwdziałanie nieprzyjaciela. To też Hitler, spędzony z Atlantyku, gromiony na Morzu Północnym i już atakowany na Bałtyku, znalazł się w pułapce. "Cytadela niemiecka" stała się oblężoną i odciętą redutą. A po zwycięstwie Rosjan pod Tannenbergiem przychodzi na myśl stary wierszyk, który jeden z ostatnich antyhitlerowców wypisał tam kredą na pomniku Hindenburga: —

Steh auf du alter Streiter —
Dein Gefreiter kann nicht weiter . . .

NA DALEKIM WSCHODZIE

Raz jeszcze musimy zwrócić uwagę na fakt opłynięcia Filipin przez eskadry amerykańskie — bądź cieśninami poprzez sam archipelag, bądź drogą północną, między Luzonem i Formozą. Jest to operacja tak śmiała i przeprowadzona w zasięgu nieprzyjacielskiego lotnictwa lądowego tak nadzwyczajnie pomyślnie, że winna wzbudzić podziw całego świata. Okręty wysadziły desanty o tysiące mil od własnych baz — pod nosem silnego i czujnego nieprzyjaciela. A dziś — tą samą drogą — desanty te zaopatrywane są systematycznie.

Tymczasem admirał Lord Mountbatten bije Japończyków . . . na lądzie! Bije w Burmie i bije na brzegach Malaji. Otworzył już drogę do Chin. Odpędził niezwyciężone dotychczas wojska japońskie — daleko od granic Indyj, gdzie zagrażały już Kalkucie. Nie jest wykluczone, że odzyska cały półwysep Malajski i z pomocą floty powróci do Singapore.

Nie chcemy popadać w przesadę, ale okazuje się, że admirał Mountbatten dokonał tego, czego nie potrafili dokonać generałowie Auckinleck i wielki Wavell.

A oto wspomnienie historyczne: W ubiegłej wojnie marynarka rosyjska, choć silniejsza na Bałtyku od niemieckiej, nie dokonała niczego, bo rządzili nią z kwatery głównej . . . generałowie. Kampania o Dardanele została przegrana, bo Kitchener nie chciał słuchać Fishera. Natomiast przykładów takich jak Mountbatten historia zna dużo i rzadkie są fakty, kiedy admirał dowodzący na lądzie nie wywiązał się z zadania.

WOJNA PODWODNA

Mało kto zdaje sobie sprawę, że wygranie obecnej wojny zależne jest w olbrzymim stopniu od posiadania tonażu handlowego. Gdyby Alianci nie mogli przewieźć przez morza i oceany olbrzymich ilości wojska, sprzętu i zasobów — wojnę z pewnością wygraliby Niemcy.

Zwycięstwo zależało więc od tego, czy marynarka handlowa Sprzymierzonych podoła zagadnieniom transportu i zaopatrzenia, a marynarka wojenna zapewni jej względnie bezpieczne pływanie. Dziś — mimo nawrotu niemieckich okrętów podwodnych — wiadomo już, że oba te zadania zostały wykonane pomyślnie.

Ale za jaką cenę? Od początku wojny do końca roku 1943 /według *"The Navy"*/ Sprzymierzeni stracili zarówno z powodu działań wojennych, jak i wypadków na morzu, 5,758 statków handlowych o łącznej pojemności 22.161.000 ton /wraz ze statkami neutralnymi zafrachtowanymi dla użytku Sprzymierzonych/. Za rok 1944 trzeba jeszcze coś nie coś dodać, a więc będziemy bliscy liczby 6.000 statków i 23 milionów ton /nie licząc w tym strat Rosji/. 65% tego tonażu zniszczyły okręty podwodne, 19% samoloty, 5% okręty nawodne, 6% zginęło na minach, a 7% wskutek różnych wypadków. Zginęło ponad 30.000 marynarzy handlowych, w tym kilkuset Polaków.

Z początkiem wojny marynarka handlowa Imperium Brytyjskiego liczyła nieco ponad 21 milionów ton przy 6722 statkach. Straty ogólne wyniosły tedy mniej więcej tyle, ile cały tonaż brytyjski. A mimo to, dzięki wspólnemu wysiłkowi Sprzymierzonych, udało się nie tylko pokryć z nadwyżką te straty, ale też przewieźć dziesiątki milionów ton ładunków poprzez "siedem mórz". Ani na chwilę olbrzymi potok ludzi, sprzętu wojennego, amunicji, paliwa, żywności, materiałów opatrunkowych i wszelkiego zaopatrzenia nie został przerwany.

To było największe z dotychczasowych zwycięstw — będące równocześnie podstawą zwycięstwa ostatecznego. I cokolwiek okręty podwodne Hitlera zdołałyby jeszcze zrobić — jest już za późno . . .

PRUSY WSCHODNIE

W roku 1939 Polska nie posiadała odpowiedniej floty wojennej oraz fortyfikacji na Pomorzu i dlatego Niemcy uczynili z Prus Wschodnich bastion wypadowy, skąd wyszło natarcie na Białystok i tyły Warszawy. Dziś — wojska sowieckie odcięły Prusy, dochodząc do ujścia Wisły. Zimą, gdy rzeki i jeziora są zamarznięte, operacje na tych terenach są znacznie łatwiejsze.

Niemcy mogą się bronić jednak w twierdzy Piława i na Mierzei Świeżej, w oparciu o morze. Czy uda im się później wycofać część sił lądowych drogą morską, zależeć będzie od tego, w jakim stopniu flota ich panuje jeszcze na Bałtyku.

JULIAN GINSBERT

Z tygodnia na tydzień

21 s t y c z n i a: Wojska sowieckie zajęły w Polsce Konin i Radziejów, w Prusach Wschodnich Grunwald i Gąbin, na Śląsku Kluczborek, Byczynę i Olešno.

—Oddziały 2 Korpusu patrolują wzdłuż rzeki Senio we Włoszech.

22 s t y c z n i a: Walki w Polsce toczą się głównie koło Kalisza i Torunia. Wojska sowieckie zajęły w Prusach Wschodnich Wystruć i Olsztyn oraz nacierają w kierunku Opola.

—Ogłoszono szczegóły walk Armii Krajowej w zachodniej części okręgu warszawskiego i w radomskim w ciągu stycznia b.r.

23 s t y c z n i a: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie dotarły do Odry w rejonie Wrocłowia. Wojska sowieckie zajęły Bydgoszcz i Gniezno. Walki toczą się pod Poznaniem.

—Wojska niemieckie wycofują się z Ardennów. Sprzymierzeni zajęli St. Vith na płd. od Malmedy.

—Rząd R.P. złożył na ręce rządu brytyjskiego i rządu Stanów Zjednoczonych memorandum w sprawie Polski wyzwalanej spod okupacji niemieckiej.

—Król Jugosławii udzielił dymisji rządowi Subasicza w związku z układem Tito-Subasicz.

24 s t y c z n i a: Wojska sowieckie zajęły Kalisz, Rawicz, Żnin i Wrześnię oraz Opole. Wojska sowieckie poczyniły również znaczne postępy w rejonie Jezior Mazurskich.

25 s t y c z n i a: Wojska sowieckie zajęły Chrzanów i Ostrów Wielkopolski oraz Gliwice. Walki toczą się pod Poznaniem, Wrocławiem i Królewcem.

—Niemcy atakują w Alzacji.

26 s t y c z n i a: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie przekroczyły Odrę w kilku miejscach i odcięły okręg przemysłowy Górnego Śląska od Rzeszy Niemieckiej. Wojska sowieckie zajęły Malborg. Poznań został oskrzydlony od północy i południa.

—Sprzymierzeni kontratakują w Alzacji. Niemcy zostali wyrzuceni poza rzekę Moder, w rejonie m. Haguenau. Sprzymierzeni atakują w rejonie m. Roermond.

27 s t y c z n i a: Wojska sowieckie przekroczyły Wisłę na płd. od Chełmna.

28 s t y c z n i a: Wojska sowieckie zajęły Katowice, Bytom i Kłajpedę oraz dotarły do Obry.

Wobec ofensywy na Śląsku

W chwili pisania tych słów, wojska sowieckie stoją na prawym brzegu Odry od Głogowa po Koźle i prawdopodobnie na lewym brzegu uchwyciły już znaczniejsze przyczółki. Równocześnie zdobyły one centralny górno-śląski okręg górniczo-przemysłowy, zamykający się mniej więcej w trójkącie Gliwice — Bytom — Mysłowice.

Znaczenie tego faktu dla dalszego prowadzenia wojny przez Niemców jest jasne. Od dosyć dawna już utarło się określanie zagłębia śląskiego mianem "małej" lub "drugiej Ruhry". Drugie z tych określeń wydaje się nawet trafniejsze. Wydobycie węgla połączonych okręgów śląskiego i dąbrowskiego mało co ustępuje wydobyciu głównego zagłębia Niemiec Zachodnich. Produkcja żelaza i stali na Śląsku wprawdzie jest mniejsza, za to jednak Śląsk produkuje znaczną ilość cynku a nadto posiada dwadzieścia kilka koksowni, zakłady przemysłu chemicznego i wybudowane przed kilku laty duże wytwórnie benzyny syntetycznej. W odróżnieniu od Zagłębia Ruhry, Śląsk był w małym tylko stopniu bombardowany. Kwitł tam sabotaż i robotnicy polscy świadomie obniżali swą wydajność, w sumie jednak — jak na słosunki wojenne — był to okręg spokojny, znaczenie jego wytwórczości dla machiny wojennej Niemiec stale wzrastało. Bez Śląska, możliwość dalszego oporu ze strony Niemiec można liczyć już raczej na tygodnie, niż na miesiące.

Radość, odczuwaną z tego powodu przez wszystkich wrogów Niemiec, Polakom, jako gospodarzom tych ziem, przesłania w tej chwili troska o to w jakim stopniu ludność i teren ucierpiały od działań wojennych. Każda godzina ognia artyleryjskiego na obszarze tak wielkiego skupienia ludzi i zakładów wytwórczych może wyrządzić szkody zupełnie niewspółmierne do tych, z jakimi musimy się liczyć w reszcie kraju. Każda godzina zwłoki w usunięciu oddziałów niemieckich z terenu kopalń, hut, walcowni, elektrowni i innych zakładów przemysłowych, daje Niemcom więcej czasu na przeprowadzenie zniszczeń kluczowych urządzeń technicznych. Przewlekłe walki na obszarze górnośląskiego trójkąta przemysłowego mogłyby na długo pozbawić ludność śląską warsztatów pracy i spowodować szkody, które mierzone w skali majątku narodowego, może i dorównałyby stratom związanym ze zburzeniem Warszawy a przewyższyły te, których obawiamy się w Poznaniu i w Toruniu.

Stan, w jakim Rosjanie odbili Górny Śląsk znany będzie dopiero za jakiś czas. Domysły na ten temat nie powinny jednak być zbyt czarne, zważywszy, że ofensywa w zagłębiu przemysłowym postępowała szybko, chociaż niestety nie tak błyskawicznie jak na niektórych rolniczych i mniej zabudowanych częściach Opolszczyzny, gdzie ilość przeszkód dla natarcia broni pancernej była mniejsza. Fakt że wojska rosyjskie oskrzydliły trójkąt przemysłowy od północy i przed natarciem na ten rejon przecięły komunikację z Rzeszą kolejami, położonymi po największej części właśnie na prawym brzegu Odry, pozwala się spodziewać, że Niemcy nie zdołali także wywieźć z Górnego Śląska zbyt wiele ludności.

Z chwilą gdy minie pierwsza troska o życie mieszkańców i całość urządzeń Śląska, dojdą jednak do głosu zagadnienia szersze i na dalszą metę zakrojone. Nabierze aktualności sprawa oblicza narodowego i przynależności państwowej Śląska.

Nie jestem pewny czy pierwsza z tych spraw była zawsze u nas dostatecznie rozumiana. Często zbywano ją sentymentalnym i ogólnikowym zwrotem o cudownym zachowaniu się polskości na Śląsku, mimo wielowiekowego oderwania od macierzy. Wiara w cuda jest u nas dosyć rozpowszechniona i niestety rozciąga się także na dziedziny polityki, gospodarki i strategii, a więc takie sfery życia, gdzie cuda są szczególnie rzadkie. W rzeczywistości, ani oderwanie Śląska nie było tak zupełne i nieprzerwane, jak się czasem przypuszcza, ani też polskość tej piastowskiej ziemi nie wyszła z okresu ucisku narodowego bez poważnych, choć może powierzchownych strat.

Nie trzeba zapominać, że cały Śląsk a nawet jego północne przedłużenie w postaci Ziemi Lubuskiej, nad środkowym brzegiem Odry, były kiedyś ziemiami równie polskimi, jak Mazowsze, Krakowskie czy Wielkopolska. W wieku czternastym zerwały się polityczne czy raczej dynastyczne węzły książąt śląskich z Polską, zostały one jednak w pewnej mierze czasowo przywrócone na przełomie wieków piętnastego i szesnastego, kiedy Śląsk pozostawał pod panowaniem Jagiellonów. Zerwanie więzi dynastycznej nie było jednoznaczne z ustaniem stosunków handlowych i kulturalnych. W hierarchii kościelnej biskupstwo wrocławskie nadal podlegało arcybiskupowi gnieźnieńskiemu. Kolonizacja niemiecka sprowadziła wprawdzie pewne elementy obce, zjawisko to jednak występowało także i na innych ziemiach polskich.

Pod panowaniem Habsburgów /1526 — 1742/ nie było właściwie poważniejszej akcji germanizacyjnej. Zaczęła się ona dopiero, i to z całą siłą, od chwili zdobycia Śląska przez Fryderyka Wielkiego i odtąd, pod rządami pruskimi, trwa nieprzerwanie przez dwieście lat. Odtąd żywioł polski cofa się stale, jak wykazują spisy niemieckie, chociaż z uwagi na charakter tego źródła niepodobna stwierdzić, czy i w jakim stopniu nie są to straty pozorne.

Górny Śląsk do chwili rozpoczęcia poważniejszej eksploatacji jego wielkich bogactw kopalnianych, był uboższą częścią Śląska o stosunkowo mało urodzajnej glebie i dużym zalesieniu. Toteż Niemcy zaczęli się tam osiedlać później niż na Śląsku Dolnym, względnie tak zwanym Śląsku Środkowym, w rejonie Wrocławia. Był to ponadto prawie wyłącznie element miejski, kupcy, wolne zawody, urzędnicy a przede wszystkim organizatorzy i kierownicy rozwijającego się w szybkim tempie przemysłu.

Górny Śląsk jest tą częścią Śląska, z której posiadamy jedyny bardziej bezstronny obraz składu narodowościowego, w postaci plebiscytu, odbytego pod kontrolą międzynarodową. Jak wiadomo na wyniku zaciążyło blisko dwieście tysięcy niemieckich głosów t.zw. emigrantów, przywiezionych na plebiscyt w specjalnych pociągach z Niemiec Zachodnich. W rzeczywistości byli to ludzie często ze Śląskiem nic wspólnego nie mający, poza urodzeniem się na tym terenie. Iluż Polaków dziś żyjących urodziło się w Petersburgu, Wiedniu czy Kijowie! Czy w razie decyzji dotyczącej przyszłości tych miast głos ich byłby brany pod uwagę? Niedorzeczność przyznania prawa głosu wszystkim urodzonym na danym terenie staje się szczególnie plastyczna w świetle faktu, zresztą prawdziwego, choć przytaczanego często jako anegdota, że w Opolu istniał już na wiele lat przed ostatnią wojną słynny na całe Zachodnie Niemcy szpital położniczy, do którego zjeżdżało wiele matek niemieckich z poza Górnego Śląska. Zręczne akuszerki śląskie nie przewidywały zapewne, że sława ich umiejętności zaważy kiedyś na przyszłości politycznej kraju.

Drugim czynnikiem zniekształcającym wyniki plebiscytu r. 1921 była całkowita niewspółmierność sił obu rywalizujących narodów. Z jednej strony Niemcy, wprawdzie pokonane, ale do niedawna górujące w czteroletnim pokazie swej wojskowej potęgi, Niemcy, zainstalowane na Śląsku zarówno jako władza, jak i w charakterze pracodawców i właścicieli ziem uprawnych i zakładów przemysłowych, z których ludność czerpała utrzymanie. Z drugiej strony Polska, wprawdzie w obozie zwycięzców, ale zniszczona, uboga i bez doświadczenia państwowego, Polska, z którą węzły gospodarcze przez cały czas rozbiorów były stosunkowo bardzo słabe. Tak zwany "kąt trzech cesarzy" nad Przemszą w Mysłowicach był nie tylko symbolem, ale także bardzo konkretnym wyrazem granic celnych i paszportowych, jakie odcinały Górny Śląsk zarówno od zaboru austriackiego, jak i od naturalnego przedłużenia zagłębia węglowego w rejonie Sosnowca i Dąbrowy Górniczej. Plebiscyt górnośląski nie odbywał się zatem w warunkach, które pozwoliłyby na pełne urzeczywistnienie tego, co leżało w zamierzeniach jego autorów — pozostawienie ludności swobodnej i spokojnej decyzji co do przyszłości jej losów.

Jeżeli jest coś w nowszej historii Śląska, co może nieomal zasługiwać na miano cudu, to jest to opór stawiany akcji germanizacyjnej przez ludność Górnego Śląska, niemal zupełnie w tym czasie pozbawioną polskiej inteligencji i stosunkowo słabo tylko podtrzymywaną przez resztę kraju. Trzy kolejne powstania górnośląskie, które w sposób już nie nadający się do sfałszowania czy zniekształcenia zademonstrowały miejscowym władzom sojuszniczym i całemu światu prawdziwą wolę ludności, należą do najpiękniejszych dowodów niezłomności Polaków kresowych i słusznie jako takie przez tę ludność są czczone.

Rada Najwyższa przeprowadzając linię graniczną przez samo serce okręgu przemysłowego, zdawała sobie sprawę ze słabych stron tego postanowienia. Plastrem na rany zadane żywemu organizmowi Śląska jako całości przez ten podział miała się stać konwencja genewska, przewidująca niezmiernie szczegółowe uporządkowanie spraw tego okręgu i stwarzająca w postaci Komisji Mieszanej i Trybunału Rozjemczego organy międzynarodowego arbitrażu. Miały one załatwiać niektóre spory mogące powstać w przyszłości a przede wszystkim opiekować się mniejszościami po obu stronach granicy.

Georges Kaeckenbeeck, pełniący przez 15 lat obowiązki prezesa Trybunału Rozjemczego, w niezmiernie pracowicie i szczegółowo przygotowanym sprawozdaniu z działania tych instytucji, opublikowanym w r. 1942 /*The International Experiment of Upper Silesia. A Study in the working of the Upper Silesian Settlement* 1922 — 1937. *Oxford University Press. London, New York, Toronto*/ dochodzi do wniosku, że w sumie próba ta była raczej udana.

Niezupełnie można zgodzić się z tym wnioskiem. Nie ujmując w niczym dobrym chęciom autora i jego kolegów, trzeba jednak stwierdzić, że ta sama nierówność społeczna między elementem polskim i niemieckim, i wynikająca stąd niewspółmierność sił, które zaważyły tak poważnie na walce narodowości w okresie poprzednim i na samym plebiscycie, wywarły swe piętno także na stopniu, w jakim obie mniejszości mogły korzystać z przysługującej im teoretycznie ochrony. Sam autor zresztą wydaje się w pewnej mierze zdawać sobie sprawę z rzeczywistości, gdy w kilku ustępach swej książki podkreśla trudności, które miała mniejszość polska w związku z tym, że po drugiej stronie granicy — gdzie jak można przypuszczać pozostało conajmniej 800 tysięcy Polaków — nie pozostali prawie żadni przedstawiciele inteligencji, mogący służyć masom polskim w charakterze doradców i przewódców. Sytuacja ta istotnie poprawiła się dopiero w ostatnich latach.

Istotą zagadnień polsko-niemieckich na Śląsku jest ta właśnie nierówność społeczna. Linia podziału narodowościowego jest przede wszystkim także linią podziału społecznego. Z prawdy tej płyną wnioski, które nie tylko tłómaczą przeszłość, ale i na przyszły rozwój rzucają pewne światło. Jeżeli wchodzimy w okres dziejów, w którym ten właśnie czynnik społeczny, ważność człowieka i jego potrzeb mają górować nad wszystkimi innymi, to sprawę granicy polsko-niemieckiej na Śląsku możemy stawiać o wiele śmielej, niż dotychczas i bez obawy tych obciążeń czy sprzeciwów, z którymi spotykaliśmy się dotychczas.

GUSTAW GAZDA



rys. JERZY FACZYŃSKI

GROMNICZNA

Helenie D.K.

Idzie wolno polską drogą
Święta Pani Śliczna,
mróz w rączęta tnie Niebogę,
nie wie, że Gromniczna.

Chociaż śnieg swą bielą prószy
czystą, nieskalaną,
Marii ciężko jest na duszy,
serce pali raną.

Bo przez cichość nocnej pory,
przez wymarłe sioła,
smutku akord minorowy
niesie wiatr dokoła.

Pieśń ta zgrzebna i żałobna
płynie za nią cieniem,
łzami ludzkiej nędzy zdobna,
podszyta cierpieniem.

Więc Maryja zasłuchana
w tym wiatrowym pieniu,
modły śle do Boga Pana,
by dał kres cierpieniu;

i by przegnał wilcze stada
od zagród, od roli
— Maria modli się — łza pada
w noc ludzkiej niedoli.

Anglia, 1945.

MIECZYSŁAW PAWLIKOWSKI

NOC NA POBOJOWISKU

Z Oświęcimia, od drutów obozu,
idzie dusza koleiną mrozu,

mgły płomykiem jak ręką rozgarnia,
czegoś szuka, bo świeci po darniach.

I przystaje przy każdej mogile,
aby westchnąć i odejść po chwili,

i przyklęka przy krzyżu, przy każdym,
napis czyta — tak ciągle i zawdy.

Za przedmieściem, za polami Kutna,
leży mała mogiła wysmukła,

wiatry nad nią śniegami wirują,
krucy czarni na hełmie koczują.

Z Oświęcimia, z katowni — obozu,
idzie dusza w czas słoty i mrozów,

po wydmuchach przełęczy się sina
jak dzwoniona, posępna godzina.

Nad mogiłą usiadły wokoło,
cztery wiatry ziemskiego padołu,

jakby chciały ze serca wycisnąć
kroplę życia i wskrzesić, i błysnąć.

Dusza waży oczyma siwymi
każdą grudkę zamarzłą na ziemi,

łzę podnosi, która się wydziera,
lecz łza także spada i umiera.

Przystanęła przed krzyżem, przed czarnym,
które wiatry te cztery obsiadły,

drżącą ręką deskę oświetliła,
a noc nad nią z wiatrami zawyła:

"Tutaj leży ojczyzną podparty
Marcin Wawrzon, zginął" . . . /napis starty/.

Pokuliły się wiatry w mokradłach,
dusza klękła i strasznie pobladła

i sepleni coś białymi usty,
pewnie modły lub wieczne odpusty.

Krucy czarni usiedli po rowach,
dusza mówi — noc uchyla słowa:

"Tuś jest synku! Nareszciem przy tobie!
Niech cię mogę ucałować w grobie!

Ach, mój Boże! Jak ciebie szukałam —
noce szły mi niby wieczność cała.

Marcyś! Synu! Tyżeś między nimi,
pod chorągwią swojej własnej ziemi! . . .

Pewnie dola cię gryzie chłopaczku?
Zamęczono mnie, słyszysz? — za taczką!

Zmarła także sąsiadka, Niemradzka,
ty ją znałeś — i ona przy taczkach.

Co tak milczysz? Czego tak się kulisz?
Przecie to ty — poznaję po kuli".

Dusza siadła przy smutku sosnowym
i szloch wplata w warkocze wiatrowe,

ręce sine do piersi przytula
jakby chciała kołysać: śpij, lulaj.

Noc opada szarugą i słotą,
już dla duszy godzina powrotu,

już mgły do niej podchodzą jak płaczki —
w drogę prosić na dalszą tułaczkę.

Do katowni powraca obozu,
płomyk nikły koleiną mrozu:

idzie, płynie, na wietrze się chwieje,
mgła go niesie, topi się w zawiei.

JERZY FACZYŃSKI

Sanitariusz

PRZEDSTAWIAM CZYTELNIKOM BOHATERA OPOWIADANIA

Kolega, o którym piszę, nazywa się Władysław Gaj.* Zewnętrznie nie wyróżnia się niczym od otoczenia. Jest mniej, niż średniego wzrostu, blondyn o jasnych, niebieskich oczach. Pochodzi z okolic Lidy, jest żonaty i ma córkę. Z zawodu rolnik, marzy o tym, aby wrócić do domu i nadal uprawiać ojczysty zagon. Człowiek, który ciężko pracował na chleb codzienny, schylony ku ziemi — żywicielce, przechodził twardą szkołę życia i niewiele miał warunków ku temu, aby myślą wznosić się w sferę wyższych idei. Przyzwyczajony do praktycznego ujmowania spraw życiowych, nie był nastawiony na wzloty duchowe, o których czytamy w życiorysach niektórych sławnych ludzi . Nie powiemy o nim, że już z piersi matki wyssał miłość Ojczyzny ani, że rozczytując się w swej młodości w pięknej literaturze, postanowił w późniejszym życiu naśladować bohaterów. Przeciwnie, wiemy, że wojna i związane z nią przeżycia pogłębiły jego wyjątkowy pogląd na życie.

Był w Rosji, a od r. 1942 służy w DSK /Dywizja Strzelców Karpackich/. Po raz pierwszy spotkaliśmy się w Iraku, gdzie Gaja przeznaczono na kurs dokształcający. Nie ukrywał on swego niezadowolenia z tego powodu. Uważał, że jest za stary /rocznik 1904/ i nie wierzył, aby w tym wieku mógł się czego nowego nauczyć, zresztą to, co umiał, całkowicie mu dotychczas wystarczało. Ostatecznie ustaliliśmy wspólnie, że Gaj będzie przychodził na kurs tytułem próby przez kilka dni, a jeżeli mu się ta praca nie spodoba, nikt go nie będzie do uczęszczania zmuszał. Po kilku dniach zmienił zdanie i zgodził się pozostać na kursie, ale zapału nie okazywał. Ożywił się dopiero wtedy, gdy zaczęliśmy omawiać tematy z historii i zagadnień życia współczesnego. Brał wtedy udział w rozmowach i często wypowiadał zdrowe sądy. W jego prostych słowach było wiele głębokiej chłopskiej mądrości i ciętości.

CO MÓJ BOHATER MYŚLI O WOJNIE I KSIĄŻKACH

Gdy pewnego razu mówiono o terminie zakończenia wojny, Gaj zauważył, że było by źle, gdyby to wnet nastąpiło. — "A co zrobią — powiada — te "doktory" i "inżyniery"? Zapytasz którego, to każdy w cywilu doktor albo inżynier, a musowo miał sześć pokoi i 700 zł. miesięcznej pensji. Nawet osobisty pana porucznika powiada, że dziennie zarabiał lekko 20 zł. Wojna nie może się jeszcze skończyć, bo ludzie są nadal głupi i niczego się nie nauczyli". — Zagadnienie, do którego zazwyczaj podchodzimy dość wstydliwie, Gaj ujął prosto i jasno. Wykpił naszą tak często spotykaną śmieszną przywarę.

Na kursie czytaliśmy "Ogniem i mieczem" i Gaj stał się wielkim miłośnikiem Sienkiewicza. Gdy ukazały się w sprzedaży początkowe tomy "Potopu", zaraz je sobie kupił. Ze względu na to, że w chlebaku żołnierskim niewiele jest miejsca na takie rzeczy, a także w obawie, że Gaj sam czytając nie wszystko zrozumie, odradzałem mu to, ale on powiedział, że po wojnie chce książki przywieźć do domu: — "Jedni gromadzą dolary, inni kasztany, ale gdy ja, co wyszedłem na wojnę mało umiejący czytać i pisać, wróciwszy przywiozę worek książek, to dopiero będzie nowość". — Nie odradzałem mu. Może dowiezie.

WYBOROWY STRZELEC I SANITARIUSZ

Potem rozeszliśmy się. Pod Cassino słyszałem, że Gaj był sanitariuszem i wykazał dużo odwagi i poświęcenia, wynosząc rannych wprost spod ognia nieprzyjacielskiego. Gaj, którego dotychczas prawie nikt nie znał, stał się popularny. Koledzy mówili o nim z uznaniem, a opowiadając o wspólnych znajomych nie omieszkali wspomnieć o Gaju jako o dobrym koledze i wzorowym sanitariuszu.

* Nazwisko zmienione.



Znoszenie rannych z góry Cassino

Nie było sposobności porozmawiania z Gajem ani po zdobyciu Monte Cassino, ani w czasie pościgu nad Adriatykiem, spotkaliśmy się dopiero pod Osimo w zamku San Pietro, gdzie kompania Gaja miała swój odcinek. Było więcej czasu, więc mogliśmy sobie wzajemnie opowiadać o własnych przeżyciach. Sprowadziwszy rozmowę na temat ostatnich walk, zapytałem przede wszystkim jak to się stało, że został sanitariuszem.

—"Bo to z początku wysłano mnie na kurs strzelców wyborowych. Mówią: Gaj! Będziesz wyborowym strzelcem. Rozkaz, to rozkaz. Dobrze, tak będę strzelał. Potem wróciłem do kompanii i kiedy potrzeba było sanitariusza, przypomniano sobie, że kiedyś, jeszcze w 3 Brygadzie odbyłem przeszkolenie sanitarne. Pyta pan porucznik czy chcę być strzelcem wyborowym czy sanitariuszem. A ja na to powiadam, że prawdę mówiąc, to jabym chciał, aby się wojna skończyła, ale kiedy trzeba wojować to trudno, tylko że ja sobie niczego nię będę wybierał i zrobię tak, jak pan porucznik rozkaże. A pan porucznik powiedział, co ja będę sanitariuszem. Taka to historia."

JAK BYŁO POD CASSINO

—"A pod Cassino to wasza kompania była w dużych kłopotach. Wyście najdłużej siedzieli w "Gardzieli", — naprowadzałem rozmowę.

—"Oj jak tam na nas mocno bili. Tu jeden ranny, a za chwilę jest ich czterech. Człowiek biegał od jednego do drugiego. Tu opatruję kaprala Dragana, a tam znowu ktoś krzyczy. To ja biegnę do niego. Powiada do mnie kolega, aby się nie śpieszyć, bo mnie zabiją. To i prawda, że zabić mogą, ale choć ja i nie poszedłbym, kula może mnie znaleźć także w dziurze, a miałby człowiek nieczyste sumienie, że rannemu nie pomógł. Myślał ja sobie wtedy, że nas wszystkich wybiją, ale wytrzymaliśmy i mnie się nic nie stało. Najgorzej było z ciężko rannymi, bo trzeba ich było nieść w miejsca trochę zakryte. Chłopa dźwigać to ciężko, ja nie taki mocny, a przecież na śmierć go nie zostawię. Chłopaki chętnie pomagali, ale trudno było rannych przenosić. Czasami bywało, nieśli rannego, a sami oberwali."

—"Raz to i uśmiałem się. Trzasnął pocisk w drużynę pchr. Zdz. i wszyscy zostali ranni. Aż się za głowę złapałem. Opatrzyłem ich prowizorycznie i pytam, który z nich pójdzie o własnych siłach. Był tylko jeden taki. Kto poniesie resztę? Tak martwiłem się nie wiedząc, co zrobić. Za chwilę padł znowu pocisk, a gdy następny uderzył jeszcze bliżej, wszyscy ciężko ranni porwali się na nogi i ganiaj do B.P.O.* Jeden, co prawda, zemdlał w drodze, ale inni doszli. Tak, choć mi ich żal było, musiałem się trochę śmiać, bo uważa pan, żaden nie może się ruszyć, a tu naraz idą i to biegiem".

JAK MÓJ BOHATER PRZENIÓSŁ RANNEGO PRZEZ RZEKĘ

—"Teraz śmieję się z tego, ale kiedy przypomnę sobie tych chłopaków, co poginęli, to człowiekowi chce się płakać. Ten zabity, tamten zmarł z ran. Strach bierze myśleć o tym. Taki kapral Dragan. Krzyż Walecznych z Tobruku miał, został ranny w nogę pod Cassino, więc zawieźli go do szpitala. Noga goiła się, ale trzeba było jeszcze ze dwa tygodnie poleżeć, a potem pójść na masaże. Cóż, kiedy chłopak dowiedział się, że nasze wojsko znowu poszło do boju. Nie wytrzymał, uciekł ze szpitala i dopędził nas nad Chienti. Noga go bolala i trudno mu było chodzić, ale się do tego nie przyznawał. Obiecywał sobie, że gdy się wojna skończy nad Adriatykiem i Dywizja pójdzie na odpoczynek, powróci na dalszą kurację. Pan Bóg chciał inaczej".

—"Siedzieliśmy nad Chienti. Wiadomo było, że zaraz na drugim brzegu byli Niemcy. Widzieli my ich przecież dokładnie. Naraz mówią, że Niemcy się wycofali. Jak się wycofali, kiedy ich widać. Nic z tego, jest rozkaz, że ma pójść patrol. W dzień, w biały dzień przez rzekę, gdzie skryć się nie można. Od rzeki do Niemców 100-150 m. Weszli nasi do wody. Nie strzelają. Tak, myślimy, że może i sprawiedliwie uciekli, gdy jednak przeszli wodę i byli na piasku, jak ich chwycą *"Spandauy"*. Mocny Boże, tylko kurzyło się. Patrzę, a tu Dragan już leży /dostał znowu w nogę, ale całą serię/, plutonowy Ogonowski leży ranny i jeszcze coś rozkazuje. Za chwilę umarł. Padł st. strz. Korzin i ranni zostali Talik, Fog, Sz. i jeden z drugiego plutonu. Wołają sanitariuszy".

* punkt opatrunkowy

— "Szkoda mówić, co się tam działo, jak strzelali, ale trzeba było iść. Poszedł ja i Durczak. Skoczyli my do wody i naprzód. Nie mieliśmy chorągiewki Czerwonego Krzyża, tylko opaski. Myślimy sobie, do Niemców niedaleko, opaskę widać dobrze. Tak ja się patrzę, a Durczak wyciągnął ręce do góry, zachwiał się i upadł. Znaczy się zginął. A ja biegnę dalej. Widzę w krzakach Niemców. Niedaleko, może 80 kroków. Przybiegam do Talika. Rozrywam koszulę. Dostał kilka kul w bok tak, że powietrze z płuc wychodzi. A krzyczy, żeby go ratować. Widzi mi się od razu, że z niego nic niè będzie, ale zostawić go nie można. Chłopak uciekł z bazy, aby być u nas. Miał narzeczoną, tylko jej list zostawił i przyszedł do Karpackiej. I już gotów. Zabandażowałem go jak mogłem, a tylko okiem zerkam na Niemców i oni też na mnie patrzą. Dali krótką serię w bok, tak na strach, ale mnie nie ruszyli. Wziąłem Talika na plecy i niosę do rzeki. Ledwie dźwigam, a woda duża. Ciągle myślę, strzelą, czy mnie też przepuszczą. Trochę kule gwizdały, ale wiedziałem, że to nie do mnie, bo jakby mnie chcieli zastrzelić, to nie była żadna sztuka. Zaczęła bić artyleria i moździerze, a te nie wybierają. Coraz mniej miałem sił. Nogi się uginały i drżały z wysiłku. Jakoś się dostałem do brzegu. Najpierw złożyłem Talika, a potem sam się wydrapałem. Gdy schowałem się za usypiskiem, podziękowałem Panu Bogu, że żyję. Biedny Talik potem umarł. Wiedział ja, że tak będzie, ale zostawić go było nie sposób. Człowiek nawet gdy umiera, to mu się zdaje, że będzie żył. Talik też tak myślał. Dragana przenosił inny kolega i woda mu go porwała. Był już nieboszczyk, bo zmarł jak go zabierali. Znaleźliśmy go w rzece dopiero za kilka dni . . ."



Nasi sanitariusze we Włoszech

DO DWU RAZY TA SAMA SZTUKA

—"Siedzę ja w dziurze nad rzeką i widzę, że na piachu oprócz nieboszczyków leży jeszcze jeden nasz żołnierz, co nie wygląda ani na zabitego, ani na ciężko rannego. Raz zdawało mi się, że poruszył głową. Myślę ja sobie, wszystko jedno, może się uda. Przeżegnał ja się, chorągiewkę zabrał i jazda do wody. Chorągiewkę trzymam wysoko, aby Niemcy widzieli, że ja sanitariusz jestem. Nie strzelali do leżącego. On się nic nie rusza i już mi się zdawało, że niepotrzebnie szedłem, ale kiedy ukląknąłem, widzę, że chłopak żyje i cicho mi powiada, że jest tylko lekko ranny, ale nie może odejść, bo co tylko się ruszy, to Niemcy zaraz strzelają. Tak ja jemu powiadam: cicho leż kolego, będziemy szukać jakiejś rady. Wyjąłem bandaż, zawinąłem chłopu piersi, aby z daleka było widać. A Niemcy patrzą. Ja to czuję. Wziął ja kolegę na plecy i do swoich, a on jeszcze prosi, aby i karabin zabrać. Tego zrobić nie mogłem, bo tak przepis nie każe i wtedy mogliby Niemcy nas obu postrzelać. Powiadam ja: cicho siedź kolego i dziękuj Bogu, że żyjesz, a karabin to już jakoś dla ciebie przyszykujemy w kompanii. Nadźwigałem się, ale dostałem się do brzegu, a jak tylko schowaliśmy się za krzaki, to mój ranny w nogi i galopem do kompanii . . ."

Uśmiechnął się Gaj na wspomnienie o tym.

". . . WTEDY BĘDZIE W POLSCE DOBRZE, GDY KAŻDY SPEŁNI SWÓJ OBOWIĄZEK"

—"Wszystko to, kochany Gaju, jest ładnie — powiadam — ale leźliście śmierci w gardło i mogli was tam ukatrupić."

—"Jest to i prawda, ale nie przymierzając, inni też czasem pchają się z własnej ochoty tam, gdzie nie muszą iść, a ja iść musiałem, bo to mój obowiązek. Żyć to jaby chciał i do domu wrócić także, ale ja mam już takie serce, że choćby i głową nałożyć przyszło, nie mógłbym siedzieć, gdy ranny krzyczy. To jest wojsko i teraz jest wojna. Tak i ja sobie myślę, że gdyby ja się chował i nie chciał słyszeć wołania rannego, to i pan nie pochwaliłby mnie za to. Pan Bóg jest dobry i ja żyję, pomagam rannym, ile mam sił, bo od tego jestem. Co i mówić, pamięta pan, jak na kursie mówiliśmy o tym, że wtedy będzie w Polsce dobrze, gdy każdy spełni swój obowiązek. Czy ja miałbym być gorszy od innych?"

Gawędziliśmy sobie potem z Gajem o rzeczach tj/pouf. to jest o stosunkach w kompanii, o innych kolegach, ale to nasze sprawy. Gaj patrzył pobłażliwie na ułomności ducha ludzkiego. Pretensji do świata i ludzi nie miał. Czekał końca wojny. Chciał wrócić do swoich, do Polski. To było najważniejsze.

Życzyłem Gajowi, aby zdrów wrócił do domu i zastał wszystkich swoich, a przypominałem, aby mnie zaprosił, gdy będzie sprawiał wesele córce. . . Bardzo się cieszył Gaj tymi życzeniami i solennie przyobiecał, że na wesele zaprosi, byle wszystko skończyło się po naszej myśli.

Długo jeszcze myślałem o rozmowie z Gajem i o nim samym. Ten skromny chłop kresowy zaimponował mi. Pozostał dalej ten sam. Jak on dobrze pamiętał zdanie, że wtedy w Polsce dobrze będzie, gdy wszyscy spełniać będą swoje obowiązki. Ilu ludzi zdanie to powtarza przy lada uroczystej okazji i jak ono dalekie jest od tego, co czynią. . . Gaj wierzy w Polskę i na pewno się nie zawiedzie, bo uznając zasadę, rozpoczął jej stosowanie od siebie. Sam dobrze spełnia swój obowiązek.

WŁADYSŁAW CHOMA

Walka spadochronowych pająków

Z Drielu pod Arnhem wycofaliśmy się dyskretnie, pozostawiając go oddziałom wojsk lądowych. Spadochroniarze szli gęsiego po dwu osiach, to znaczy połowa podążała drogą, a reszta ścieżkami i skrajami pól. Niemcy słali nam na pożegnanie skąpo wydzielane pociski artylerii i moździerzy. To już było nieważne. Nie ma już "jeża Oosterbeek", ani nas w Drielu. Bitwa wojsk powietrznych o Arnhem skończona. Pozostał tutaj jeden z wielu odcinków zachodniego frontu, odcinek raczej już nieciekawy, krzepnący w dłuższą przerwę w ofensywie Sprzymierzonych.

Człapiemy po błotnistych ścieżkach wzdłuż wąskich kanałów i ścieków. Potem wchodzimy na drogę, gdzie nasze dwie "osie" łączą się w jedną. Już jesteśmy poza zasięgiem ciężkich moździerzy zza rzeki, wkrótce wyjdziemy również z kręgu artylerii niemieckiej w Arnhem. Pobliskie wybuchy należą do dział 2. Armii, strzelających w kierunku przeciwnym do naszego marszu. Nad głowami krąży "latający *jeep*" — samolot artyleryjski. Prawdziwe *jeepy* walczą z grząskim błotem na drodze, a my ślizgamy się na jej skraju, żrąc jabłka i rzucając ogryzki do wody kanału. Na śliskiej szkarpie drogi leży przewrócony czołg i czeka na dobrych ludzi, którzy zechcieliby go wyciągnąć.

Rozglądam się po rzędach maszerujących żołnierzy i myślę o tych wszystkich z Brygady Spadochronowej, którzy nie idą z nami tą drogą powrotu. To już nie jest ta sama Brygada, która wyleciała z Wielkiej Brytanii. Ludzi jest o wiele mniej, a ci, którzy pozostali, są jacyś inni. W ich uśmiechniętych, chociaż zmęczonych oczach, na ich ustach wypluwających pestki jabłek i gruszek — osiadł cień przeżycia wielkiej przygody pod Arnhem.

Marsz jest raczej nudny i chcielibyśmy, aby jak najprędzej się skończył. Na krótkim postoju spostrzegam grupkę znajomych łącznościowców i dołączam do nich. Nad nami przelatują "Messerschmitty" w kierunku na Nijmegen. Kładziemy się więc do rowu i rozpoczynamy pogawędkę.

— Skąd masz taki porządny kombinezon? — dziwię się eleganckiemu wyglądowi podporucznika Szczęsnego, który tej nocy w czasie ewakuacji wojsk powietrznych z północnego brzegu Renu, przepłynął rzekę wpław.

— Dostałem w spadku po koledze, podporuczniku Detko . . .

— W spadku? A co się z nim stało?

— Wybrał się na spotkanie batalionu, który wylądował później, i ślad po nim zaginął. Może go gdzieś trafił pocisk, może wpadł na Niemców.*

— A czy wielu nie powróciło?

— Jeszcze nie wiadomo. Ale straty są duże . . .

Kiedy mówi się o łączności, że straty są duże, brzmi to dla mnie w szczególny sposób. Bo żołnierz łączności odgrywa specjalnie ważną rolę w wojsku spadochronowym.

Pamiętam czasy, kiedy Brygada otrzymała uzupełnienia z Bliskiego Wschodu, z wojsk polskich ewakuowanych z Rosji. Dowódca Brygady wezwał wtenczas do siebie jedną z najtęższych głów w dowództwie i kazał jej opracować próby psychotechniczne, a następnie na podstawie egzaminów przeprowadzić selekcję żołnierzy. Tęga głowa obłożyła się mądrymi podręcznikami, wytężyła mózg i testy były gotowe. Przemyślne łamigłówki dane do próby sztabowcom niejednemu z nich wycisnęły pot z czoła. Czego tam i nie było! Na przykład:

"Wino, śpiew, kwiaty, dziewczyna, miłość, krzaki—podkreślić dwa wyrazy, które by się tak miały do siebie, jak—p i ę ś ć do n o s a."

Tuman oczywiście nic by nie napisał, ale rozgarnięty chłopak podkreślił "kwiaty" i "krzaki," bo każde z nich stanowi część roślinności, tak jak "pięść" i "nos"—część ciała.

Ci, którzy osiągnęli największą ilość punktów na badaniach psychotechnicznych, zostali wyznaczeni właśnie do łączności. Bo w tej służbie nie ma miejsca dla matołka. Tam nikt nie ukryje swego tępactwa mądrą na pozór miną, bo po prostu nie da sobie rady ze skomplikowanym sprzętem. Co więcej—w wojsku spadochronowym taki chłopak musi być nadto wytrzymały fizycznie, więcej niż przeciętny żołnierz, ponieważ często dźwiga na własnym grzbiecie niemal dwa razy większy ciężar. Słowem w łączności Brygady znalazły się same super-chłopaki.

Łączność radiowa odgrywa zasadniczą rolę w działaniu wojsk powietrznych, których siła leży nieraz w drobiazgowej koordynacji rozprószonych w terenie oddziałów, zawsze oderwanych od bazy i nadrzędnych dowództw. Natomiast droga, jaką sprzęt dostaje się do akcji jest bardzo ryzykowna. Odpowiednie jego opakowanie w zasobnikach**/ i *kitbagach**** jest całą sztuką.

Żołnierze łączności Brygady w bitwie o Arnhem dobrze zdali egzamin, o wiele trudniejszy, niż na badaniach psychotechnicznych.



Nawiązywanie łączności radiowej w czasie akcji

Wzruszające było ich przywiązanie do sprzętu. Desant przygotowali tak starannie, że ani jedna radiostacja nie odniosła uszkodzeń w czasie normalnego lądowania na spadochronach. (Kilka zasobników Niemcy zniszczyli w powietrzu.) W następnym dniu po wylądowaniu łącznościowcy przeszukali pod ogniem niemieckich karabinów maszynowych lądowisko i zabrali cały sprzęt, którego nie dało się odnaleźć w pierwszym dniu działań. W czasie najgorszych chwil w akcji nie zostawili ani jednej radiostacji. Kiedy po przerwanej przeprawie przez rzekę jeden wózek ze sprzętem ugrzązł w gliniastym nadbrzeżnym gruncie, żołnierze łączności wrócili tam za dnia i zabrali sprzęt, nie bacząc na ogień, który siekł całe wybrzeże.

Jeżeli część sprzętu przepadła, to razem ze swoją obsługą. Głos radiostacyj milknął tylko w takich wypadkach, jak na przykład w Drielu, gdzie pocisk artyleryjski rozerwał się na drzewie nad wykopanym stanowiskiem i "wydmuchał" z niego radiostację, niszcząc sprzęt i zabijając dwu ludzi z obsługi—lub kiedy pocisk rozerwał się dwa metry od radiotelegrafisty i pogrzebał go wraz z aparatem.

Podchorąży N. ranny w rękę w Oosterbeek, dokąd przeprawił się przez rzekę w drugą noc przepraw Brygady, na wspomnienie o tej wędrówce przez wodę i ogień zamyśla się na chwilę, a potem mówi:

— Byłem świadkiem wzruszającego przykładu przywiązania żołnierza do swego dowódcy i kolegów. Rozkaz wstrzymujący dalszą przeprawę dotarł do nas akurat w chwili, kiedy celny ogień niemiecki odpędził nas od łodzi, do której mieliśmy wsiadać. Rozkaz był jednak podany jeszcze w tak niepewnej formie, że oficer saperów nie mógł go uznać za miarodajny i znów poprowadził nas ku wodzie. W łodzi zabrakło miejsca dla jednego telegrafisty z radiostacją na plecach. Otrzymał rozkaz powrotu do oddziału. Uparty chłopak zaczął krzyczeć, że nie opuści dowódcy i swego zespołu. Daliśmy więc za wygraną i w ostatniej chwili wciągnęliśmy go za głowę do łodzi. W tym momencie seria z karabinu-maszynowego odcięła mu antenę i przebiła odbiornik. Żołnierz wolał jednak iść w najgorsze niebezpieczeństwo, byle być razem ze swoimi przyjaciółmi.

—W ogóle łączność to nadzwyczajny oddział!—chełpi się podporucznik Szczęsny. — U nas wszystko jest wspaniale zorganizowane. Podchorąży B. znalazłszy się w Oosterbeek, nagle odkrył w sobie jakieś cudowne zdolności lekarskie i był wyraźnie zasmucony, kiedy chwilowo brakowało rannych do opatrzenia. A nasz szef — sierżant K. urządził się bardzo wygodnie, bo wszystkim, nie wyłączając siebie samego, wystawił z góry, na kredyt, zawiadomienie o śmierci. Potem tylko szukał pod odpowiednią literą i wyjmował. . . .

Rozmowa na chwilę urywa się — maszerujemy drogą przeprowadzoną jak wszędzie w Holandii grzbietem wału, usypanego w tej okolicy wzdłuż szerokiej wstęgi Vaalu, południowej odnogi dolnego Renu. Za rzeką wznoszą się domy i kościoły Nijmegen. Ogólny widok miasta przedstawia się malowniczo i nie widać z tej odległości ran wojennych zadanych miastu przed kilku dniami. Natomiast już z daleka można rozpoznać ślady gorącej walki, którą stoczyły amerykańskie wojska powietrzne i w porę nadeszłe siły lądowe o niezmiernie ważne mosty na Vaalu. Stanowiska obrońców niemieckich znajdują się miejscami na samym wale przy drodze. Leżą przy nich rozbite karabiny maszynowe, amunicja i hełmy, a trupy zabitych krów i koni walają się po nadrzecznych błoniach. Niektóre ziemianki są obecnie zajęte przez Amerykanów, którzy wybijają ryby w rzece granatami i smażą na ogniskach "*fish and chips.*"

— A co się stało z podchorążym Pająkiem i jego sławną radiostacją w Oosterbeek?—powracam znów myślami do Arnhem.

— Przepłynął wpław Ren i zjawił się w cywilnym kubraku i sobotach. — odpowiada jeden z łącznościowców. — Wyglądał strasznie zabawnie. . . .

Dzieje tej polskiej radiostacji przy Dywizji Brytyjskiej mogą służyć jako przykład, dlaczego określenie "*men of Arnhem*" jest zaszczytem dla żołnierzy, którzy brali udział w tej bitwie. A dla prasy, która zawsze ma w sobie coś z trywialności ulicznego sprzedawcy, ta historia posiada akcenty prawdziwej sensacji.

Oto kiedy cały świat narodów sprzymierzonych śledził z zapartym oddechem najdramatyczniejsze dnie oporu wojsk powietrznych pod Arnhem, brytyjskiej 1.Dywizji Powietrznej i — o czym może nie każdy wiedział — polskiej Brygady Spadochronowej — cała łączność wojsk powietrznych z resztą świata była utrzymywana przez skromnego podchorążego w stopniu kaprala i jego radiotelegrafistów — polskich spadochroniarzy. Podchorąży nosił nazwisko niemal symboliczne — P a j ą k, bo jak pająk niestrudzenie rozsnuwał swoją pajęczą sieć radiową. Nawała ognia nieprzyjacielskiego rozniosła wszystkie radiostacje Dywizji, brytyjscy i polscy żołnierze łączności polegli, odnieśli rany lub nie mając już sprzętu, walczyli jako piechota. Jedynie obsługa polskiej radiostacji trwała z uporem, umiejętnością, odwagą i — szczęściem, przede wszystkim ze szczęściem, bo innym obsługom też nie brakowało tamtych zalet.

Na jej właśnie falach szły wezwania brytyjskich dowódców o pomoc, o posiłki, amunicję, żywność, samoloty, wreszcie o środki potrzebne do wycofania się ze śmiertelnego potrzasku w Oosterbeek. Z tej radiostacji korzystał dowódca Dywizji generał Urquhart, przez nią szły słowa generała Dempsey'a, dowódcy 2. Armii, ta właśnie radiostacja nawiązała łączność z polską Brygadą Spadochronową w Drielu, dzięki tej radiostacji można było uzgodnić współpracę między obu brzegami rzeki, najpierw organizować przeprawy oddziałów spadochronowych polskich i batalionu "Dorset," a potem ewakuację resztek wojsk z Oosterbeek na brzeg południowy.

Kiedy popołudniu dnia 24 września akumulatory zostały wyczerpane i nastąpiła przerwa w łączności, potrzebna do ich naładowania, dowództwo brytyjskie i polscy radiotelegrafiści przeżywali ciężkie chwile, a pułkownik, dowódca łączności 1. Dywizji Powietrznej przyszedł do podchorążego Pająka i dowiedziawszy się, że prędzej jak koło północy nie da się uruchomić radiostacji, powiedział po długiej chwili ciężkiego milczenia:

—Zrób wszystko, co możesz. Od tej łączności zależy życie Dywizji.

—Wiedziałem, że jest niepodobieństwem nawiązać łączność przed północą i żal mi było tych wszystkich, którzy myśleli, że uda się to zrobić wcześniej . . . — opowiadał potem z prostotą podchorąży Pająk.

Ale naładował akumulatory ostatnią jeszcze czynną ładownią. no, i całą swoją wolą, aby nie zawieść pokładanego w nim zaufania.

Znów samotny głos polskiego radia popłynął przez zgiełk bitwy. Łączność została nawiązana — pomoc nadeszła w porę.

Jeżeli mowa o tej niezniszczalnej radiostacji, to nie myślmy o sprzęcie radiowym, ani o całości zespołu obsługującego, bo kruchy jest organizm aparatów i równie wrażliwe i nietrwałe jest ciało ludzkie. I jedno, i drugie wykruszało się w tym kotłowisku rozrywających się pocisków.

Łączność bynajmniej nie pracowała we względnie bezpiecznych miejscach, lecz bardzo często na największym przeciągu podmuchów eksplozyj, wysuwała się przed pierwsze linie, czaiła się nad brzegiem rzeki, aby być jak najbliżej własnych radiostacyj na przeciwległym brzegu i żeby mieć jak najmniej przeszkód w odbiorze. W nocy trzeba było okrywać się kocami i kombinezonami zdjętymi z siebie, aby zasłonić światło aparatu przed czujnym wzrokiem niemieckich *sniperów* i obsług karabinów maszynowych.

Niemcy specjalnie polowali na radiostacje. Jeżeli pracowały one nieco dłużej na jednym miejscu, nieprzyjaciel ustalał ich położenie drogą namiarów goniometrycznych i rąbał w to miejsce z artylerii oraz sprzężonych moździerzy. A nieraz włączał się do ich sieci i groził: "*Achtung! Achtung!* Przestańcie gadać, bo was dostaniemy!"

I dostali. Celna salwa moździerzy sprzężonych rozbiła radiostację i ciężko poraniła część obsługi. Podchorąży Pająk i jeden z radiotelegrafistów ocaleli. Natychmiast uruchomiają zapasowy sprzęt i znów nieuchwytna pajęczyna radiowych rozkazów i meldunków osnuwa pole walki.

Do samego końca nie udało się zniszczyć polskiego głosu z Arnhem.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

* Odnalazł się po kilku dniach w szpitalu brytyjskim.

** Zasobnik — pudło w kształcie walca zrzucane na spadochronie.

*** *Kit-bag* — worek przywiązany do uprzęży spadochronu skoczka.

U polskich "WAAFEK"

Z rozkazu Dowódcy Dywizjonu, w porozumieniu z Oficerem Oświatowym i Rubensem, posłali z odczytem — naturalnie mnie. Najskromniejszego chłopca w Dywizjonie — do dziewczyn!! Jak gdybym kiedykolwiek w życiu interesował się dziewczynami i jak gdyby te panny polskie pałały gorącą i bezinteresowną miłością do niemieckich okrętów podwodnych i naszych "cichych" bohaterów, wiszących pod chmurami i rzygających na zmianę z przerywaniami silników.

Każdy rozumie co to znaczy jechać 14 godzin w upalny dzień, stojąc na korytarzu po to, by paruset panienkom opowiadać o czymś, o czym nie mają zielonego pojęcia i co ich prawdopodobnie zupełnie nie interesuje. Jechałem więc z "nożem" ogromnym, klnąc Dowódcę, Oświatowego i najmniej winnego tu Pana Boga, który w przypadku złośliwego humoru wyjął z boku Adamowego żebro, aby stworzyć polską WAAF'kę.

I przyjechałem. Zmięty, spocony, zniszczony. Wściekły.

I tegoż samego wieczoru, na pożegnalnej rewii kursu, te sikorki rozbroiły mnie zupełnie. Z "noża" zrobił się scyzoryk, a z jadowitego węża pełnego sarkazmu i złośliwości — zakłopotany "młody człowiek", który nie bardzo wie, jak wybrnąć z kabały.

Bo zamiast spodziewanej fanfaronady i myślowej nieobecności, miast udawania wojska w babskim wydaniu — znalazłem złote, gorące, polskie serca. Znalazłem potężną więź koleżeńską między Paniami Dowódcami i Paniami Podwładnymi. Znalazłem ducha dyscypliny i zrozumienie Sprawy, których daleko by mi było szukać, nawet w Dywizjonach bojowych. Ujrzałem święty zapał i najwyższej próby zrozumienie i obowiązkowość.

I odczyt udał się świetnie. Nie wiem, czy uwagę słuchaczek przypisać temu, że byłem jedynym /prócz ks. Kapelana/ mężczyzną na Stacji, czy też rzeczywiście te "łodzie" i te godziny naszego trudu w powietrzu weszły do serca tych, które dziś wchodzą do naszej, lotniczej służby. Chyba to ostatnie.

Dlatego wdzięczny jestem. I za przyjęcie i za uwagę i za te oczy, ogromne, rozwarte w napięciu, chłonące słowa nieraz obce i dziwne. Żyjące chwilą wizji nieznanej im jeszcze wojny — lotniczej wojny na morzach!

Zostałem z nimi dzień dłużej. Musiałem. Tak czystą atmosferą nie oddychałem od lat. Dla nich nie istnieją problemy załamania się, klęski, czy katastrofy. U nich wszystko jest proste i naturalne — istnieje tylko praca. Praca dla Polski. I do tej pracy się rwą, bez względu czy mają skrzydełko A.C.W.1 czy dwa paski F/O.

Niech im Bóg w tej pracy pomaga i świętą ręką swoją strzeże.

Odrodziłem się u polskich WAAF'ek.

JERZY GŁĘBOCKI

Dzieci polskie w N. Zelandii

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Na mostku łączącym okręt z lądem

I.

Data przyjazdu dzieci polskich do Wellingtonu była trzymana ze zrozumiałych względów w tajemnicy prawie aż do ostatniej chwili, a tyle było na ten temat domysłów w stolicy Nowej Zelandii, że konsul generalny R.P. nie bez racji określił z dawna oczekiwany dzień jako — *"D-Day"*.

Przypadł on na południe 31 października, kiedy duży amerykański transportowiec zawinął do portu ze swoim ludzkim ładunkiem.

Wszystko tak się złożyło, aby przyjazdowi nadać charakter wspólnej uroczystości polsko-nowozelandzkiej. Statek wiózł oprócz dzieci sporą ilość żołnierzy słynnej 2-giej dywizji nowozelandzkiej, wracających po odbytej kampanii afrykańskiej i włoskiej na odpoczynek. Przedstawiciele władz polskich i nowo-zelandzkich z premierem na czele wyjechali motorówką na spotkanie statku, ale nim go dosięgli, na powitanie dzieci wybiegła niespodzianie depesza świetlna z portu. Nadawcą był okręt polskiej marynarki handlowej o zaszczytnie znanej nazwie i on pierwszy życzył dzieciom szczęścia w chwili przyjazdu do nowego miejsca pobytu.

Przedstawicieli władz oczekiwał na statku widomy dowód przyjaźni zadzierzgniętej między dziećmi a żołnierzami w czasie podróży. Okazało się, że nowo-zelandzcy weterani dobrowolnie przyjęli na siebie rolę piastunów i że dzieci przylgnęły do nich, jak tylko sieroty mogą przylgnąć do ludzi okazujących im serce. Po skończonej ceremonii powitania dzieci zostały na statku i aż do następnego dnia nikt z wyjątkiem przedstawicieli konsulatu i delegatów ministerstwa nie miał do nich dostępu.

Następnego dnia mianowicie miało się odbyć przewiezienie młodych przybyszy koleją do obozu specjalnie dla nich zorganizowanego przez tutejsze władze w Pahiatua, miejscowości oddalonej o jakieś 120 mil od Wellingtonu. Trzeba bowiem wiedzieć, że, nie tylko dzieci przybyły tu na życzenie rządu N.Z., ale przez czas ich pobytu, który może potrwać dłużej, będą gośćmi tego rządu, który zaofiarował się łożyć na ich utrzymanie i kształcenie. Jedynie pensje personelu polskiego przydanego dzieciom, opłaci rząd polski.

W tym miejscu należy wspomnieć o roli odegranej w dojściu do skutku całego przedsięwzięcia przez p. Marię Wodzicką, żonę tutejszego konsula generalnego, chociaż wszelkie słowa uznania wydają się wobec jej zasług dla sprawy polskiej na tutejszym terenie, czymś zdawkowym. Niech zatem wystarczy krótkie stwierdzenie, że bez jej inicjatywy i wysiłków nie byłoby obozu dzieci polskich w N.Z.

Ponieważ rząd nowozelandzki dzieci utrzymuje, więc administracja obozu spoczywać ma w rękach Nowo-Zelandczyków, a mówiąc ściśle objęła ją Armia i komendantem obozu został major Piotr Foxley, wielki przyjaciel Polski i wielki przyjaciel dzieci. Natomiast kierownikiem wewnętrznym obozu jest p. Śledziński, łączny delegat ministerstwa oświaty i ministerstwa opieki społecznej. P. Śledziński przyjechał na kilka dni przed przybyciem transportu i jemu zawdzięczam możność bliższego zetknięcia się z dziećmi. Trzeba je było bowiem przewieźć do obozu w dwu pociągach i podczas gdy polski opiekun postanowił pojechać z pierwszym transportem, mnie przypadł zaszczyt zaopiekowania się drugim.

Widok z górą siedmiuset dzieci stłoczonych na ciasnej przestrzeni statku robił wrażenie niezapomniane. Były one w wieku od lat 4 do 16, ubrane ubożuchno i nosiły ślady niewygód kilkutygodniowej podróży morskiej. Przyjechało z nimi około 100 osób dorosłych: nauczycieli, wychowawczyń, pielęgniarek i najbliższych krewnych, ale przyznam się, że w pierwszej chwili nie zwróciłem na nich wiele uwagi. Zbiorowisko dzieci w ilości niespotykanej w N.Z. przykuwało spojrzenie w magnetyczny sposób.

Dzieci nie były na ogół wynędzniałe. Pobyt w Ispahanie w warunkach względnego dobrobytu zatarł, mimo niezbyt zdrowego klimatu, wiele śladów koszmarnego życia w "łagrach". Natomiast już powierzchowna indagacja pouczyła, że są one w dużej większości zatrzymane, lub nawet cofnięte w rozwoju. Dziewczynki i chłopcy w wieku lat 16, wyglądali na 12. Młodsze dzieci przedstawiały się może jeszcze gorzej. Duża ilość krótko ostrzyżonych główek — pozostałość przebytych chorób — działała przygnębiająco tutaj, gdzie dużo uwagi poświęca się dziecięcej fryzurze, ale najbardziej uderzała dziwna nieruchomość twarzyczek małych uchodźców.

Wkrótce po naszym przybyciu odbyła się ranna msza na pokładzie i miałem sposobność obserwowania dzieci w czasie modlitwy. Widok tych nieruchomych, prawie obojętnych twarzy w czasie modłów i śpiewów kościelnych robił wrażenie niesamowite. Dopiero kiedy 700 dzieci z nieruchomymi twarzami zaczęło śpiewać na zakończenie nabożeństwa "Boże coś Polskę", kontrast między ich wyrazem a słowami pieśni stał się tak przejmujący, że piszącego te słowa zaczęło coś dławić w gardle i ogarnęło go zgoła niemęskie wzruszenie.

* * *

Ten skurcz w gardle pozostał w ciągu kilkugodzinnej podróży do Pahiatua. Trudno było się oprzeć wzruszeniu patrząc na te dzieci tak posłuszne i drobne, a przecież tak samodzielne i nad wiek dojrzałe, tak nieufne, a równocześnie tak wrażliwe na każde dobre słowo. Wobec nich tak łatwo było zdobyć się na życzliwość i serdeczność. Wszystko, co robiły, chwytało za serce.

Jeden z chłopców, którego wybrano do powiedzenia kilku naprędce skleconych słów podziękowania Nowo-Zelandczykom, miał na sobie potarganą koszulę i jakoś nie wypadało pokazać go w tym przyodziewku. Więc w mig chłopiec ściągnął z grzbietu swego sąsiada koszulinę nieco lepszą od własnej i był gotów do odegrania swej roli. Albo jak tu było oprzeć się uczuciu dumy, gdy inny brzdąc, jakiejś dobrotliwej pani, która mu ofiarowała pensa, z miejsca zrewanżował się drobną perską monetą. Albo te dziewczątka, naprędce zebrane, które na stacji w Palmerston North, gdzie było uroczyste przyjęcie, zaśpiewały kilka piosenek tak artystycznie, że gazety później pisały o tym z zachwytem . . .

Inna rzecz, że i miejscowa ludność uczyniła, co mogła, aby ten nastrój rozegzaltowania spotęgować. Bo z natury ogromnie ludzcy i kochający dzieci Nowo-Zelandczycy przeszli samych siebie. Podróż polskich dzieci stała się prawdziwym pochodem triumfalnym. Na stacjach większych i mniejszych, a niejednokrotnie wzdłuż toru w szczerym polu stały szeregi ludzi uśmiechniętych, wymachujących rękami, z naręczami kwiatów, słodyczy i upominków. Jakaś dziewczyna w roboczym *overall'u* poświęciła swój tygodniowy co najmniej zarobek, aby wszystkim dzieciom w pociągu rozdać lody — dla niektórych z nich bodaj pierwsze lody w życiu.

W Palmerstonie, głównej kwaterze *Polish Army League* entuzjazm dosięgnął szczytu. W żadnym mieście polskim dzieci nie doznałyby lepszego przyjęcia, niż w tym ośrodku, którego mieszkańcy wiedzieli kilka lat temu tyle mniej więcej o Polsce, co dzieci polskie o Palmerstonie. Więc radością wzbierało serce, gdy widziało się, jak nieruchome i obojętne twarzyczki zaczynały tajać pod wpływem ludzkiej dobroci, nabierać kolorów i wyrazu, tak że pociąg przywiózł do Pahiatua dzieci już jakby inne, weselsze i ufniejsze.

Wywagonowanie w Pahiatua było małym triumfem organizacyjnym niezbyt często spotykanym w tym kraju. Nieoceniony major Foxley nie darmo spędził kilka nocy nad obmyśleniem całego planu kampanii. Dzieci i ich opiekunowie byli podzieleni na grupy zaopatrzone w kartki rozpoznawcze i na stacji przeznaczenia oczekiwał ich oddział szoferów wojskowych ponumerowanych w taki sam sposób, którzy w mgnieniu oka bez pomocy tłumaczy pozgarniali swoje owieczki, załadowali na samochody i powieźli do obozu.

Sam obóz składa się z kilkudziesięciu mniejszych i większych baraków i domków mieszkalnych. Posiada nowoczesne kuchnie opalane ropą, kotłownię, światło elektryczne, prysznice, centralne ogrzewanie. Są budynki szkolne, duża kaplica, szpital, apteka, widne i przestronne sale jadalne i rozrywkowe. Sypialnie dla dzieci są przeważnie na 12 łóżek, gdzie dzieci śpią pod dozorem wychowawców; prócz tego jest 20 schludnych domków dla pomieszczenia rodzin i oddzielne pokoiki dla osób samotnych.

Dzieci w mig rozkwaterowano, nakarmiono i ułożono na spoczynek. Na drugi dzień nowoprzybyli spoczywali jeszcze snem sprawiedliwych, gdy nowozelandzcy kucharze wojskowi zaczęli krzątać się koło śniadania. Zaszedłem z ciekawości do kuchni, aby zapytać sierżanta-kuchmistrza, czy ma jakieś życzenia co do uchodźców. Owszem miał. Chciał wiedzieć, czy wolą kawę, herbatę, czy kakao, aby nie narzucać im napoju, do którego nie nawykli.

Tyle było takich i innych objawów serdeczności gospodarzy i tyle widomych oznak radości u dzieci, które cieszyło wszystko nie wyłączając rzęsistego deszczu i świeżej trawy prawie że nieznanych w Ispahanie, iż ciężko się było oderwać od obozu.

Po przyjeździe do Wellingtonu zastałem jeszcze w biurze wicekonsula, któremu zdałem sprawę i w zamian dowiedziałem się o stanie jedynych dwu chorych wziętych ze statku do szpitala. Nauczycielka ma się dobrze i wkrótce zostanie zwolniona, natomiast z nogą drugiego pacjenta, małego Krzysia, jest gorzej i grożą komplikacje. Przed pożegnaniem wicekonsul wyciągnął pudełko z kolorowymi kredkami i zapytał, jakby je można przesłać do obozu. — "Włożyć do koperty i zaadresować do Pahiatua" — odpowiedziałem z pewnym zdziwieniem. — "Ale te kredki są bardzo cenne" — zauważył pedantyczny wice-konsul. — "Więc posłać listem poleconym, jeżeli takie kosztowne". — "Kosztowne zasadniczo nie są, warte są kilka pensów". — "Więc po cóż te ceregiele?" — "Bo widzi Pan" — i tu głos pedantycznego wicekonsula zadrgał jakoś dziwnie — "te kredki przyniósł ktoś Krzysiowi do szpitala, aby miał się czym bawić w swoim osamotnieniu. Krzyś poprosił mnie, abym je posłał jego bratu w obozie".

Takie to dzieci przyjechały do nas z Ispahanu.

II.

Nikt nie odmówi chyba Polakom zamiłowania do romantycznych gestów i symbolów. Świadkiem tego był obóz w Pahiatua już w pierwszych dniach swego istnienia i trzeba przyznać, że rzadko kiedy umiłowanie symbolicznych aktów przybrało bardziej wzruszającą formę, niż to się stało 5 listopada, kiedy grupa polskich marynarzy odwiedziła obóz. Byli to marynarze z tego samego statku, który pierwszy świetlną depeszą przywitał dzieci wjeżdżające do portu w Wellingtonie. Tym razem jednak umyślili oni inną niespodziankę: ofiarowali dzieciom swoją banderę.

Już sama podróż marynarzy była symboliczna. Jadąc w odwiedziny do dzieci w Pahiatua, tych najmłodszych polskich imigrantów w Nowej Zelandii, marynarze byli podejmowani po drodze w mieścinie Masterton, w prowincji Wairarapa, przez grupę rodaków, którzy tu przywędrowali około 70 lat temu, jeszcze za czasu wojen maoryskich. Sześćdziesięcioletni staruszek witając marynarzy pomorską gwarą — emigranci ci pochodzą z okolic między Tczewem a Starogardem — tłumaczył się, że mówienie po polsku sprawia mu trudności, bo "my młodzi rozmawiamy między sobą więcej po angielsku, ale starzy mówią jeszcze dobrze po polsku".

Wizyta marynarzy w obozie stała się wielkim świętem. Była chwila nabożnej ciszy, wedle relacji naocznego świadka, kiedy po przemówieniu kapitana streszczającym dzieje statku, pierwszy oficer wręczał delegacji harcerzy i harcerek okrytą chwałą banderę okrętową. Płakali wszyscy obecni Polacy i Nowozelandczycy, kiedy padały słowa owiane romantyzmem najczystszej wody: — "Dążyliśmy stale do tego, aby honor Polski jaśniał nieskalaną glorią. Oddając Wam tę banderę, wyrażamy ufność, że Wy, dzieci, będziecie godnymi spadkobiercami tej dążności". Po odpowiedzi polskiego komendanta obozu ogarnęła zebranych prawdziwa egzaltacja i okrzykom zapału nie było końca. Publicystka nowozelandzka, pani Green, która chwilę tę utrwaliła w doskonałym reportażu, zwierzyła mi się później, że odczuto to jako ulgę, gdy któryś z małych chłopców nagle pod wpływem wzruszenia "uciął koguta", poczym nastąpiło odprężenie. Na zakończenie uroczystości pierwszy raz bodaj na ziemi nowozelandzkiej rozbrzmiały słowa pieśni "Nie damy ziemi" . . .

Trwało to pewien czas, nim obóz mógł zabrać się do normalnej pracy. W kilka dni bowiem po wizycie marynarzy, dzieci żegnały tę część wojskowego personelu nowozelandzkiego, który był tu tymczasowo i po ukończeniu swojego zadania został odkomenderowany na inny, twardszy posterunek: front na Pacyfiku. I znowu rozegrały się wzruszające sceny, których obecni zapewne długo nie zapomną. Dzieci śpiewały i tańczyły w polskich strojach narodowych, żołnierze produkowali się w góralskich łamańcach szkockich i w maoryskim wojennym tańcu *"Haka"*. Przyjaźń polsko-nowozelandzka święciła prawdziwe triumfy.

A później był jeszcze długi korowód dygnitarzy nowozelandzkich z Premierem na czele, odwiedzających obóz, nawiązanie kontaktu z radą miejską i ludnością Pahiatua, aż powoli korowód ten przerzedził się i obóz wszedł na drogę codziennego życia.

Stoi przed nim droga żmudnego wysiłku i dużej odpowiedzialności. Jest to odcinek najmłodszej Polski, uratowanej z pogromu, na którym wychowywać się mają jej przyszli obywatele. Jest to przy tym odcinek, na który zwracają się oczy całej tutejszej ludności, usposobionej w obecnej chwili nad wyraz przyjaźnie, ale o naturze wyspiarskiej, skłonnej do ostrego sądu o wszystkim, co obce. Na obozie w Pahiatua ludność ta urabiać sobie będzie zdanie o Polsce i to zdanie będzie miało niewątpliwie pewną wagę po skończonej wojnie. Obóz jest tego w pełni świadom i jest również świadom swoich obowiązków wdzięczności wobec tutejszych gospodarzy.

Ale i Nowa Zelandia nie będzie miała zapewne powodów, aby żałować bezinteresownej gościnności udzielonej zamorskim przybyszom. Tych 700 dzieci, które nabiorą tutaj sił i zdrowia, zmieni się po powrocie do Europy w tyluż ambasadorów wysłanych w świat przez te odległe i odosobnione wyspy. Sądząc z wrażenia, jakie czyni ten dziecięcy element, będą to dobrzy i wierni ambasadorzy.

Premier Nowej Zelandii, Peter Fraser na pokładzie okrętu amerykańskiego, który przywiózł dzieci polskie /na lewo delegatka P.C.K. p. Wodzicka/



LEOPOLD HARTMAN

Bez blackoutu

Holandia, grudzień 1944

Pisać o kontynencie bez blackoutu — to niełatwe zadanie. Znacznie łatwiej było "odblackoutowywać" emigrację naszą w Wielkiej Brytanii. Kontynent jest stanowczo trudniejszy do odszyfrowania a sprawy, które się na nim rozgrywają, jeszcze nie dojrzały całkowicie do obnażenia ich z ciężkich kotar, przykurzonych pięcioletnią okupacją niemiecką, z kotar czarnych od trosk codziennych i czerwonych od przelanej krwi.

Tyle napisano już od dnia inwazji reportaży z pierwszych wrażeń, z pierwszych lądowań na brzegu francuskim, że chyba oszczędzę Wam tego mili Czytelnicy i Tobie, zacna Redakcjo. W listach z Kontynentu, które będę się starał nadsyłać w miarę możności regularnie, spróbuję w krótkich obrazkach z osobistych przeżyć moich i "Lwowskiej Fali" odtworzyć nastrój codziennego życia tutejszego. Czytając te listy weźcie pod uwagę oprócz innych trudności i tę jedną /natury cenzuralnej/, która siłą rzeczy jeszcze więcej musi zaciemnić obraz Kontynentu widziany oczyma felietonisty, szukającego tematu na przełomie lat 1944/45 . . .

"JAKIEŚ WOJSKO JEDZIE DROGĄ . . ."

Na maleńkiej stacyjce w południowej Anglii w pobliżu wielkiego portu czeka na nas w mroku wieczornym duża ciężarówka, do której delegat "Ensy" z Londynu ładuje bez miłosierdzia trzy zespoły: popularną orkiestrę jazzbandową Joe Loss'a, zespół teatralny ulubieńca Szkocji Jacka Radcliff'a i . . . "Lwowską Falę". Panie z wszystkich zespołów jadą oddzielnie do jakiegoś chwilowego m.p. w angielskiej szkole, a my z fantazją tłukąc głowami o ściany ciężarówki pędzimy do obozu specjalnego, który ma być rodzajem czyśćca przed wstąpieniem do nieba kontynentalnego. Dla dodania animuszu, ktoś w mroku ciężarówki zaintonował ładnym barytonem: "Hej dziewczyno, hej niebogo, jakieś wojsko jedzie drogą" . . . Okazało się że właścicielem barytonu jest aktor szkockiego zespołu Radcliff'a, śpiewający najczystszą polszczyzną. Nauczył się kilku piosenek polskich specjalnie dla naszych żołnierzy. Rewanżujemy się szkockim "Loch Lomond" i "jakieś wojsko jedzie drogą" — prosto do obozu.

Przy bliższym poznaniu, czyściec okazał się jednym wielkim bagnem, na którym postawiono olbrzymie miasteczko namiotów. Miasteczko ożywia się w ciągu tej nocy. Ryczą głośniki, migają światła latarni, co kilka minut padają nowe zarządzenia . . . O spaniu nie ma mowy, tym więcej, że angielska noc listopadowa, pod wilgotnym namiotem nie jest idealną towarzyszką snu. Formalności rozpoczęte o północy, kończą się w południe na drugi dzień — i już stoimy po kostki w błocie, ale zato z pasami ratunkowymi, które "wyfasowaliśmy" przed chwilą razem z dwudziestoczterogodzinną rezerwową racją żywnościową. Racja po bliższych oględzinach wzbudza podziw dla organizacji brytyjskiej. Nie zapomniano o niczym. Są pastylki do sterylizacji wody, jest nawet mała maszynka do odgrzewania konserw, wszystko miniaturowe, zgrabnie pakowane.

Po obiedzie czekają już na nas wozy ciężarowe, i znowu "wojsko jedzie drogą" . . . Jedzie do portu.

"BIAŁE SKAŁY"

Okręt nosił nazwę staro-szkocką i mimo karaluchów, które właziły nam na legowiska, zyskał naszą sympatię. Trzydniowe życie okrętowe potoczyło się dosyć ciekawie. Przez cały pierwszy dzień — jedyny pogodny — oglądaliśmy białe skały Anglii, a Kanał, jak na zamówienie był spokojny. Na drugi dzień o świcie przyszła mgła, popsuła widzialność i humory. Nawet tajemnica stacji docelowej przestała obowiązywać i wiedzieliśmy, że płyniemy do jednego z wielkich portów belgijskich. Plotka pokładowa mówiła, że wejście do tego portu jest dość trudne, więc przeczekamy mgłę, przeczekamy noc i dopiero o świcie ruszymy. Tak się stało.

Dzień przeszedł na koncertach orkiestry Joe Loss'a i zgadywaniu co będzie na obiad i co na kolację. Wszyscy przegrali. Bo to samo było na obiad, co na kolację. Już na okręcie zaczęło się królestwo "corned beef'u", *w którym obecnie żyjemy cały długi miesiąc. O świcie trzeciego dnia "staro-szkocki" okręt ruszył na pełny gaz, kołysząc dość solidnie, a w kilka godzin później, głośniki okrętowe ogłosiły, że zbliżamy się do portu X . . . , przy czym wojsko, A.T.S. i Ensa muszą się wyładować w ciągu dziesięciu minut.*

Była godzina jedenasta w południe, mżył drobny deszcz listopadowy, gdy stanęliśmy na kontynencie całą stopą. Wyładowanie istotnie trwało dziesięć minut. Port był dość pusty. Kręciło się kilku bladych tragarzy cywilnych, którzy zaczęli z nami rozmowę w łamanej angielszczyźnie. Welfare officer *"Ensy", bardzo przystojny — blondynka, wysoka, energiczna — zaproponował chwilowe schronienie przed deszczem w magazynie towarowym tuż przy molo.*

Magazynier-sierżant brytyjski uśmiechnął się tajemniczo i powiedział, żeby nie palić papierosów, bo w skrzyniach za nami i przed nami leży dynamit — po czym zaciągnął się własną fajką. Po krótkiej rozmowie, okazało się, że jest Szkotem i pochodzi z Paisley pod Glasgowem. — "Nareszcie ktoś bliski" — wyrwało się "Lwowskiej Fali". — "Graliśmy kiedyś w Paisley" — pochwaliły się nasze damy. Szkot w rewanżu za to zdradził, że obok jest drugi, mniejszy magazyn, gdzie nie ma dynamitu, ale za to jest ogień w piecu — oczywiście nie "fire-place", *bo tu się w ogóle na takich cudownych wynalazkach nie znają, po czym zapytał dość miękko:* "How is old Scotland?" */Jak się ma stara Szkocja?/*

"PIERWSZY APERITIF"

Po pół godzinie przychodzi po nas wóz ciężarowy, którym jedziemy z portu przez miasto X., by dotrzeć do hotelu zajętego przez "Ensę". Miasto jest prawie wyludnione i bardzo zniszczone. Nie można dokładnie ustalić "pochodzenia" gruzów. Jedni mówią o straszliwych bombardowaniach niemieckich w r. 1940, *inni o dużych nalotach Sprzymierzonych w r.* 1943. *Jadąc ciężarówką staram się określić moje pierwsze wrażenia i nazwać własne uczucia.*

Podniecenie okrętowe, wrażenie z podróży zgasły, białe skały Dovru zostały za nami, odcinając Wyspę Brytyjską od Kontynentu kamienną zaporą bezpieczeństwa. Nad białymi skałami pozostało słońce, w mgłach jeszcze, ale złote słońce. Tutaj jest . . . smutno. Gruzy porosłe mchem, bladzi ludzie, pustawe ulice, wiele kobiet w ciężkiej żałobie — widok dawno, a w Brytanii w ogóle niespotykany. Pierwsze wrażenie jest tak gorzkie, jak ten pierwszy aperitif, *który pijemy przy bufecie hotelowym.*

Nasłuchaliśmy się wielu opowiadań o Kontynencie przed wyjazdem. Mały procent z tych opowiadań sprawdził się w rzeczywistości. Trzeba patrzeć i samemu przeżywać. Może i ja oglądam te rzeczy tylko własnymi oczyma, może i ja się mylę. Ale wydaje mi się, że pierwszym zasadniczym niemal wrażeniem który rzuca się tutaj w oczy i zastanawia, to k o n t r a s t. W Belgii może nie razi on tak, jak w Holandii. Kontrast we wszystkim. Pomiędzy tym co zostawili Niemcy, a tym co przynieśli Sprzymierzeni — pomiędzy tym co zabrali Niemcy a czego jeszcze Sprzymierzeni nie dostarczyli. I jeszcze jeden może najprzykrzejszy: pomiędzy tym, czego nie mają tubylcy cywilni a co musi mieć wojsko działające na Kontynencie.

Będą oni tutaj podziwiać gatunek materiału, z którego masz zrobiony płaszcz wojskowy, będą pokazywać swój lichy płaszczyk, uszyty z materiału, stanowiącego kombinację pokrzywy, papieru i nieznanych odpadków. Na odmianę, ty zaś podziwiać będziesz w oknach wystawowych wspaniałe perfumy, termosy, szampany, koronki i winogrona, ale gdy przyjdziesz wynająć fortepian na koncert "Lwowskiej Fali", właściciel składu fortepianów poprosi cię o honorarium "w żywej gotówce": chleb, corned beef, *margaryna albo trochę cukru. Kelnerzy we frakach podadzą ci w holenderskim hotelu zajętym przez "Ensę", ugotowane w kuchni hotelowej mięso mrożone, dostarczone przez Brytyjczyków, ale ci sami kelnerzy po obiedzie przyjdą do ciebie i z wypiekami na twarzy przyznają się, że dzieci w ich domach są głodne — i kością w gardle stanie ci ten obiad. Dasz co masz pod ręką, choćby swoją okrętową dwudziestoczterogodzinną porcję, w której jest taka zdobycz, jak czekolada z witaminami. Kontrasty będą cię ścigać cały czas i wszędzie. I to jest może najbardziej charakterystyczne i najbardziej . . . męczące w tej podróży po Kontynencie.*

Gorycz pierwszego aperitifu *osiada głęboko i pada na serce.*

"J'ATTENDRAI" . . .

Nazajutrz rano wychodzę z hotelu. Przed wyjściem na miasto rozmawiam z kelnerem hotelowym w pustej kawiarni. Dowiaduję się, że mieszkamy w pokojach, w których przed kilku tygodniami mieściła się główna komendantura armii niemieckiej. Tutaj urzędowało także Gestapo. Kelner nieraz słyszał krzyki i wołania o pomoc, dochodzące z górnych pięter. Cały sufit w kawiarni hotelowej, w której rozmawiamy jest świeżo naprawiany, gdyż Niemcy urządzali sobie tutaj wesołe zabawy, strzelając po pijanemu do lamp, luster i ścian.

Naprzeciw okien kawiarni hotelowej stoi wysoki, betonowy, dobrze zamaskowany budynek, na którym widać jeszcze źle zamalowane znaki Czerwonego Krzyża. Kelner wyjaśnia: to był schron, który sobie wybudowała Główna Komendantura Niemiecka, tutaj w czasie nalotów Sprzymierzonych, chronili się dzielni Gestapowcy, pędząc z aktami w ręce podziemnym przejściem przez piwnicę hotelową wprost do schronu. Schron dla pewności zamaskowano na . . . szpital. Sfabrykowano okienka, nie zapomniano nawet o zaimitowaniu firanek, a z góry i z boków wymalowano olbrzymie czerwone krzyże. W schronie znajdują się trzy kondygnacje piętrowe i do dziś jeszcze pełny komfort, tylko . . . Niemców już nie ma, uciekli trochę dalej i będą próbowali przemalowywać Rzeszę sztucznymi okienkami i fałszywymi znakami.

Idę przez miasto, mijają mnie ludzie bladzi i bez uśmiechu. Mimowoli przychodzi myśl, że są otępiali i nieczuli na wszystko. Porośli mchem obojętności, jak te gruzy, których ustalenie jest takie trudne. Znajduję kilka ulic w centrum miasta, stosunkowo mniej nadwerężonych. W oknach wystawowych chwilowe podniecenie może obudzić oryginalny "Chypr", czy prawdziwy "Barsac" lub "Dubonnet", ale zmrozi cię natychmiast cena. Odechce ci się tych zbytków, gdy przyglądniesz się dokładnie cenom w następnym oknie sklepowym, gdzie wystawiono skromniutkie sukienki damskie i liche płaszcze. Tysiące i dziesiątki tysięcy, wypisane na kartkach, zobrazują ci cały paradoks sytuacji i już nawet prawdziwe ciasteczka kontynentalne oglądane w oknie cukierni przestaną cię nęcić.

Na rogu kamienicy w śródmieściu powieszono na sznurze kukłę żołnierza niemieckiego w pełnym umundurowaniu. Targa ją wiatr w różne strony. Pod kukłą przechodzą obojętnie smutne kobiety w żałobie. Z sąsiedniego sklepu wychodzi człowiek, który sprzedaje czarny chleb. Człowiek ten, zmizerowany okropnie, wita mnie łamaną polszczyzną. Czy chcę chleba? — zapytuje. Dziękuję mu grzecznie. Pochodzi z Polski, jest Żydem z Podola, gdy mówi o Tarnopolu, o podolskiej ziemi, czerwone oczy nabiegają łzami . . . Czterdzieści lat mieszka w Belgii, Niemcy zabrali mu żonę, córki i synów do obozów koncentracyjnych. On ocalał — stary, sponiewierany. Co robi? Sprzedaje chleb, czarny, wilgotny chleb i czeka. Czeka końca wojny i doczekać chce klęski niemieckiej . . .

Naprzeciw w sklepie z przyborami do pisania: widokówki. Wśród nich jedna wymowna i inteligentna, jest w niej "esprit" *dowcipu francuskiego i gorycz dzisiejszej biedy kontynentalnej: młynek do mielenia kawy, wspaniały, błyszczący wielki młynek pod szklanym kloszem, a pod spodem napis:* "J'attendrai".

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE OCENY PIECHOTY

Szanowny Panie Redaktorze,

W naszych polskich regulaminach podkreślone było wybitnie znaczenie piechoty. Nazwano ją słusznie "królową broni". Zasługiwała na to miano w całej pełni. To naczelne miejsce wśród broni dała jej nie sztuczna legenda, ani protekcja, ani łaskawa sympatia tych lub tamtych osób, na to szczytowe miejsce wyniosło ją pole walki, a więc prawdziwa rzeczywistość. Tam na polu zmagań z prawdziwym przeciwnikiem wywalczyła sobie wśród wszystkich broni to naczelne miejsce.

I dzisiaj po pięciu latach strasznych i krwawych zmagań, ta sama rzeczywistość i to samo pole walki wykazało, że żadna inna broń nie zastąpi piechoty i tym samym piechota pozostała nadal na polu walki "królową broni". I znowu nie dzięki taniej reklamie lub protekcji lub innym sympatiom utrzymała się piechota na tym naczelnym miejscu, lecz dzięki prawdziwej rzeczywistości. Piechota nic nie straciła, ani nie uroniła z zajmowanego stanowiska i dzierży nadal zasłużone pierwszeństwo wśród broni współdziałających z nią. Prawda, że w pewnych stadiach walki bronie jak lotnictwo, artyleria i inne, odgrywają górującą rolę, lecz o wyniku walki decyduje bezapelacyjnie piechota.

Brytyjska instrukcja *Infantry Training Part I. The Infantry Battalion, War Office, January* 1944, mówi: "Duża ilość rozmaitych typów uzbrojenia, z których większość musi być znana przez przeciętnego żołnierza powoduje, że piechota jest jednym z rodzajów broni o najwyższym poziomie wiedzy technicznej. Walka piechoty wymaga pod każdym względem większego stopnia sprawności, niż walka prowadzona przez każdy inny rodzaj broni".

Regulaminy innych państw również stawiają piechotę na pierwszym miejscu i naczelnym. Prasa obca codzienna i fachowa, stale omawia działania piechoty. Często można się spotkać u obcych, że celem wyróżnienia innej broni używa się porównania z piechotą, co stanowi dla chwalonej broni zaszczyt nielada. N.p. Niemcy ustawicznie podkreślają że "myśliwce, są piechotą powietrza".

W naszej prasie o piechocie cisza. Po zdobyciu Monte Cassino oddał gen. Anders w pięknych słowach hołd piechocie. Czasami w komunikatach z walk Armii Krajowej wspomina się o piechocie. W Kraju dużo pieśni opiewa piechotę. Ale tutaj panuje cisza grobowa. Dlaczego? Czy pod Monte Cassino piechota została wybita do nogi? Czy może w Dywizji Pancernej nie ma piechoty? Czyżby piechota skończyła się u nas? Dlaczego ta cisza? Czy może przez skromność, czy też inne uboczne względy stoją temu na przeszkodzie?

Z żołnierskim pozdrowieniem

Aleksander Idzik

JESZCZE O ŚP. MICHALE GOLDINIE

Szanowny Panie Redaktorze!

Ze wzruszeniem przeczytałem w numerze 41-ym "Polski Walczącej" z ub. roku słowa Marka Szwarca, poświęcone pamięci Michała Goldina. Chciałbym do nich dodać kilka szczegółów, które rzucają trochę światła na jego wyjątkową indywidualność.

Goldin służył w naszym pułku przez dwa lata i pozyskał sobie sympatię wszystkich kolegów spokojem, uczynnością, trochę naiwnym, dziecięcym uśmiechem. Szkocka świetlica w zimowe wieczory wydawała się nam pusta bez drobnej postaci Michała, piszącego swój pamiętnik przy kominku. Często przysiadałem się do niego i w rozmowach z nim miałem możność poznania jego wyjątkowego wykształcenia, umysłu jasnego i logicznego, szlachetnego charakteru.

Miał wtedy dwadzieścia lat i byłem uderzony jego stosunkiem do życia, światopoglądem człowieka dojrzałego. Znawca scholastyków, wielbiciel św. Tomasza z Akwinu, zapamiętały czytelnik Bergsona — ścieżka intelektualna, którą szedł prowadziła go do katolicyzmu, do którego i tak skłaniała go wrodzona miłość bliźniego. Nie chciał jednak porzucać wiary przodków w chwili, gdy Żydzi w całej Europie przechodzą nieludzkie prześladowania — byłaby to w jego pojęciu pewnego rodzaju dezercja.

Do Normandii jechał z entuzjazmem, wierząc że jest to walka o Polskę i o Europę. Nie widział w wojnie przygody, do śmierci i bólu czuł fizyczną odrazę i pamiętam jak głęboko był wstrząśnięty, gdy w pobliżu naszego m.p. spadł samolot i spalił się wraz z załogą.

A jednak była mu przeznaczona śmierć nieprzypadkowa, lecz ta piękniejsza, której się idzie naprzeciw. Michał Goldin był jednym z garstki ochotników, którzy pojechali odbijać z rąk wroga sanitarkę, wiozącą rannych Polaków. Ostrzelani wzdłuż drogi wiodącej poprzez ten *"no-mans-land"*, którego tyle było w Normandii, zeskoczyli oni do lasu. Nie zważając na strzały, Goldin pobiegł w gąszcz oddając serię z *Tommy-gun'a* w kierunku niewidocznych Niemców. Wtedy właśnie zginął. Ciało jego znaleziono nazajutrz, przeszyte kilku seriami.

Jak gdyby spodziewając się swego losu zostawił u jednego z oficerów, którego darzył specjalnym zaufaniem instrukcję, w której prosił o udzielenie mu Sakramentu chrztu w razie ciężkiej rany i utraty przytomności. Na szczęście religia nasza zna chrzest pragnienie i msza św. żałobna została odprawiona za duszę ś.p. Michała Goldina.

Pochowany został w cieniu jednego z tych wiejskich gotyckich kościołów z szarego kamienia, których tyle było w Normandii przed inwazją. Nie wiem, czy to jest ważne, ale cieszy mnie, że leży blisko tego średniowiecza, które kochał, w ziemi, której każda garstka jest garstką historii Europy, w którą wierzył. Na grobie postawiliśmy mocny jesionowy krzyż.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego poważania

K. A. Jeleński

Kącik językowy

Pani S.S. w Edynburgu: Często słyszę, a nawet czytam — i to u poważnych autorów — zdania tego typu: "Na to trzeba by nie miesięcy a *lat" albo: "Tu chodzi nie o ten szczególny wypadek* a *o zasadę". Czy użycie w tych zdaniach spójnika "a" jest poprawne? Mnie osobiście to razi; używałbym tu spójników "lecz", "ale".*

—Ma Pani zupełną słuszność. Owo "a" jest pospolitym rusycyzmem, szpecącym często polszczyznę wybitnych nawet publicystów. "Ja nie z soli ani z roli, ale *z tego, co mnie boli, wyrosłem" — mówił przecież Czarniecki. Wyraz "a" nie może służyć do wyrażania przeciwstawienia w zdaniach omawianego typu. Natomiast jeżeli te zdania są zbudowane w ten sposób, że czynnik twierdzący występuje przed czynnikiem przeczącym, wtedy spójnik "a" jest konieczny: "na to trzeba by lat,* a *nie miesięcy", "tu chodzi o zasadę,* a *nie o ten szczególny wypadek".*

St. strz. K.T.: Czy wolno mówić: "ten chłopaka"? Wyrażenie to jest obecnie dość rozpowszechnione wśród żołnierzy.

—Oczywiście nie. Znamy tylko wyraz "chłopak".

Na pomoc Warszawie: £2,566

NA PACZKI OD SERCA DLA JEŃCÓW Z ARMII KRAJOWEJ

Zamiast drobnego upominku imieninowego dla p. Rtm. Henryka M. przesyłam w załączeniu sumę £1.10.0 na pomoc dla Obrońców Warszawy — przebywających w niewoli niemieckiej.

Jadwiga Janusowa

DLA POLAKÓW W ROSJI

Przesyłam 10 sh. na pomoc Polakom w Rosji.

Strumieński

PODZIĘKOWANIE

Weterani działu opieki w Kujbyszewie, zgromadzeni z okazji ślubu dwojga spośród siebie, złożyli na wniosek jednego z żołnierzy 2 Baonu Strzelców na fundusz pomocy rannym b. żołnierzom Baonu "Kratkowanych Lwiątek" sumę £4 /cztery funty/.

Za przekazanie tej kwoty — serdeczne podziękowanie składa ofiarodawcom

Grono b. żołnierzy Baonu "Kratkowanych Lwiątek"

W załączeniu przesyłam Money Order na kwotę £20 /dwadzieścia funtów/ złożoną przez oficerów, podoficerów i ułanów Pułku na pomoc Warszawie, w ciągu miesiąca grudnia 1944 r.

II. Z-ca D-cy Pułku
Rtm. M. Walerian

* * *

W załączeniu przesyłam "Money Order" na kwotę £154 /sto pięćdziesiąt cztery funty/, którą składają oficerowie O.P.O.Z.W. na pomoc ludności Warszawy.

Komendant O.P.O.Z.W.
pułk. Ś.

* * *

W załączeniu przesyłam "Money Order" na £5.11.6 z prośbą o przekazanie na fundusz "Pomoc dla Warszawy" — jako sumy wpłaconej przez "Towarzystwo Naukowe Farmaceutów Polskich Sił Zbrojnych".

W imieniu Zarządu
Mgr. K. Tadeusz, kpt.
Skarbnik

Kasyno podoficerskie, Oddz. Sztab. — Spadochronowego Ośrodka Zapasowego — przesyła w załączeniu "Money Order" na kwotę £10 z prośbą o przekazanie powyższej sumy na Fundusz Pomocy Warszawie.

za Zarząd Kasyna
st. sierż. T.J. — skarbnik

* * *

Na pomoc Warszawie zebrane przez świetliczarkę sierż. Zubiewicz na wieczorach świetlicowych w "Domu Żołnierza" w Edynburgu w grudniu 1944 r., £4.10.3 /cztery funty, dziesięć szyl., 3d./.

Oficer Opieki "Domu Żołnierza"

* * *

DLA DZIECI W KRAJU

Kadra i ochotniczki Obozu P.W.S.K. zamiast pożegnania Komendantki Obozu por. Rojanowej złożyli na jej ręce fundusz dyspozycyjny £7.12.4, które komendantka przekazuje na "Pomoc dzieciom w Kraju".

Świetliczarka Obozu
Rajkowska E.

It gives me the greatest pleasure to enclose cheque for £13.10.0 for the distressed people of Warsaw.

From a sincere friend of Poland.

Rene Rogers

* * *

Zebrane na Pasterce przez Ks. Kapelanów Lotnictwa £75.14.4 na pomoc Warszawie.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £290.18.5 /słownie: dwieście dziewięćdziesiąt funtów, osiemnaście szylingów i pięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £2,566.13.3 /dwa tysiące pięćset sześćdziesiąt sześć funtów, trzynaście szylingów i trzy pensy/.

NA "BŁĘKITNY FUNDUSZ"

W załączeniu przesyłam postal order na kwotę £1 na "Błękitny Fundusz".

F.G.

* * *

Postal order na £1 /słownie: jeden funt/, dług wdzięczności za pomoc niesioną rannym przez P.C.K. przeznacza na "Fundusz Błękitny" dla Rannych Armii Krajowej.

Ppor. 10 *P.S.K.*

KOMUNIKAT KOŁA ŚLĄZAKÓW CIESZYŃSKICH

St. strz. Franciszka WALICZKA, oraz strz. Władysława PIOTROWSKIEGO poszukuje ich kolega Leon z Międzyświecia koło Skoczowa. — Pawła KUBOSZKA, Antoniego FAJKISA, oraz Alojzego ŚMIEJĘ, poszukuje ich kolega Albin z Chybia, powiat Bielsko.

Wszyscy Cieszyniacy, którzy obecnie przybywają do Wielkiej Brytanii, proszeni są o podawanie swych adresów do Koła, gdyż tą drogą mogą odszukać swych znajomych, pochodzących ze Śląska Cieszyńskiego.

Członkowie Koła, a w szczególności ranni przebywający w szpitalach, proszeni są o zgłaszanie wszelkich zmian adresów.

Wszelką korespondencję w związku z powyższym komunikatem uprasza się kierować na adres:

KOŁO ŚLĄZAKÓW CIESZYŃSKICH, 91, Queen's Court, Queensway, London, W.2.

Three Polish blind soldiers would like to express this way hearty thanks to the generous Professors and Students of Edinburgh University who helped in getting mouth-organs.

* * *

EMIGRANCI POLSCY Z FRANCJI

Inwalidzi i ranni Polskich Sił Zbrojnych oraz inwalidzi z wojen 1914/21 pochodzący z emigracji we Francji proszeni są o zgłoszenie swoich adresów do Komitetu Wykonawczego Emigrantów Polskich z Francji: 38, Wilton Crescent, London, S.W.1.

Inż. W. Karasiewicz
Wiceprezes Zarządu Gł. Zw.
I.W.R.P. we Francji

Zbiórka książek

Bezimiennie przesłano: G. Duhamel: "Tel qu'en lui même", Beauchemin: "Retour a la Vigie", J. Peyré: "6 Bulls on Sunday", "1000 słów po angielsku", M. Hemar: "Adolf Wielki", i sześć broszur.

* * *

Przesyłam "Lalkę" Prusa /dwa tomy/ i "Wiatr od morza" Żeromskiego i mam gorącą prośbę, żeby się one dostały do rąk wileńskich Pietruków lub Joziuków, ewentualnie Oszmiańczuków.

Jeżewski Jan
Wilnianin, zam. tam do dnia 9.III.1944 r. a obecnie w Szkocji

* * *

Dla Polaków na Wschodzie i dla ich angielskich przyjaciół, celem lepszego poznania Polski przesyłam to co mam chwilowo.

Zosiński Roman

Załączone: 3 numery "Skauta", 2 zeszyty "Harcerskim szlakiem", "Harcerstwo zdobywa przyjaciół", W. J. Rose: "The Growth of Polish Democracy", "Tribute to General Sikorski", "Falaise gap has been closed", "The Abbey is ours", "Democratic Poland Answers".

* * *

Przesyłam w załączeniu książki, które proszę użyć wg. uznania Redakcji.

por. M.

Załączone: St. Żeromski: "Wierna rzeka", A. Słonimski: "Alarm", A. Mickiewicz: "Księgi narodu polskiego", Eckersley: "Essential English", Berlitz: "First Book", "London Pocket Atlas", "It's a Piece of Cake".

* * *

W. Wojciechowska posłała: C. Łukaszkiewicz: "Dziwna dziewczyna", "Concise Statistical Year-Book of Poland", St. Szurley: "Polska w liczbach", nr. 6. "Economisty polskiego", "Poradnik świetlicowy" i trzy broszurki.

* * *

W załączeniu przesyłam dla użytku rannych żołnierzy jedną książkę /St. Mackiewicz: "O jednenastej sztuka jest skończona"/ i pięć broszur.

K. Górski

WERINAJSEK

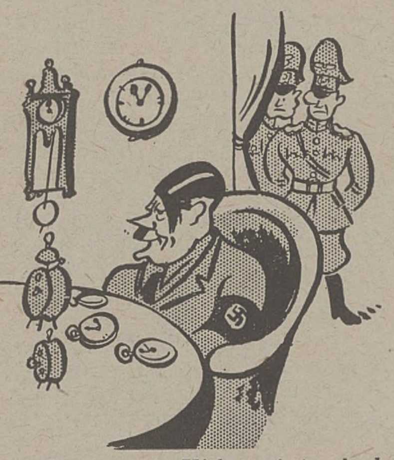
... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

ZMARTWIONY

—Panie poruczniku, dlaczego pan jest taki smutny? Nie cieszy się pan nowym stopniem?

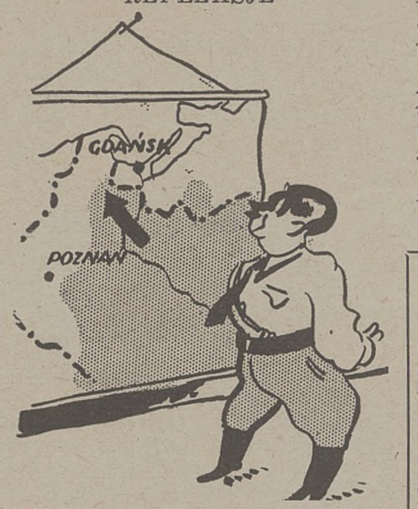
—Nie, przegrałem zakład. Założyłem się o kupony, że nigdy nie będę awansowany i teraz muszę im oddać 100 kuponów ...

HUMOR NA CZASIE



—Co się stało Hitlerowi, że ciągle siedzi nad zegarami?
—Liczy swoje ostatnie minuty ...

REFLEKSJE



Hitler: Dziwną wojna, po sześciu latach znowu bijemy się o Gdańsk ...

ZADANIE DLA OFICERA OPIEKI W SZPITALU

... należy rozdzielić przesyłkę tak, ażeby jedna żyletka wypadła na trzech żołnierzy, mydło — na dziesięciu żołnierzy, a szczoteczka do zębów — na czterech żołnierzy ...

KWATERA FRASZKOWA

Gdy satyrą na wojnie
wszędzie się pałenta,
wszystko wykpi — a tylko
czci ... korespondenta!

Nasz Maciek nad Maćkami
za wszystkich się stara.
Hitler ma Feld-marszałków,
a my — Fel[illegible]-huzara!

Do historii już przeszli
w bohaterów typie
ci dwaj: Ryszard Lwie Serce
i Ryszard Na Jeepie.

Mistrz Kossak /czyli rumak,
ułan, szabla, dzida/
też zaczął od obrazków
z tytułem: "Co widać?"

Mam karę dla Hitlera!
Więc: więzienna prycza,
tortury i rysunki
Walentynowiczą.

Gdy Mary z Arnhem gada
nie wierzcie panience!
Bo to Marek tam został
tylko, że w sukience!

Starych bajek arabskich
to edycja nowa.
Gdy Szeik niewał sokoły.
SHAEF ma — Sokołowa.

Korespondent lotniczy.
Jeden — a nie wielu.
Każdy inny mu siódmą
wodą po Kisielu.

Pisać, siedząc w Paryżu,
to rola królewska!

Taka wojna — ma pasja!
Pasja To — ma — szewska!

Drogi Janto! I ciebie
los tutaj umieści.
Bo najkrótsze z nich wszystkich
piszesz ... przypowieści!

Całą prasę czytuje
od deski do deski.
Myślałbyś — że on rumak.
A on Ponny-kiewski!

Gdy umrę, na mym grobie
te wyryjcie zgłoski:
"Za życia był tak skromny,
jak .. Jan Rostworowski".

Or-Si.

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

W obozie koncentracyjnym niemiecki dozorca rozmawiał z holenderskim więźniem na temat tego co będą robili po wojnie.

"Ja kupię sobie domek nad morzem", powiedział Holender. "Będę łowił ryby, chodził na spacery i cieszył się wolnością. A co ty będziesz robił?"

"Ja kupię sobie rower i wybiorę się na wycieczkę na około Niemiec" odpowiedział dozorca.

"Bardzo ładnie! A co będziesz robił po obiedzie?"

/d/

Opowiadają, że gdy Clemenceau po raz pierwszy przeczytał 14 punktów Wilsona, miał się wyrazić: "I pomyśleć, że Pan Bóg umiał wymyśleć tylko 10!"

/d/

"*The Twentieth Century*", pisze, że gdy "Churchill miał 5 lat, ktoś żartem zapytał go co sądzi o sytuacji politycznej. "Nawa państwa jest na burzliwych wodach" — odpowiedział dzieciak. Jak zwykle tak i w wypadku Churchilla dziecko jest ojcem człowieka, a styl to człowiek

/d/

"Chętnie bym poszedł na wojnę, gdyby mnie do tego zmuszono", powiedział pewien Irlandczyk.

/d/

NAD KANAŁEM



—Co to za konwój?
—To "Fala Lwowska" wraca z podboju Kontynentu ...

Tekst i rysunki: TONY

KOMUNIKAT

Dyrekcja Państwowego Liceum Handlowego im. Henryka Bruna 34, West George Street, Glasgow, C.2, komunikuje, że nowy rok szkolny w kl. I rozpoczyna się dnia 1 marca 1945 r.

SPIS RZECZY:

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.